

Okladka i opracowanie graficzne
EWA KULESZA I WANDA RODOWICZ-CEDROŃSKA

Owego dnia zagadkowe państwo Inków odeszło wraz z zachodzącym słońcem w otchłań przeszłości, z której nie ma powrotu.

Noc 16 listopada 1532 roku zdawała się nie mieć końca. Kości zostały rzucone i nie wiadomo było, jak się potoczą. Nadchodzący dzień albo przyniesie Hiszpanom zgubę, albo powita ich jako panów Peru. Z zimną przezornością Pizarro czynił ostatnie przygotowania. Każdy z garstki jego ludzi otrzymał szczegółowe in-



strukcje. Po przybyciu Atahualpy, władcy Inków, na główny plac Cajamarci, sygnał Pizzara miał stanowić hasło do generalnego ataku.

Niejeden z ukrytych Hiszpanów czuł drżenie serca na widok nadciągających tłumów. Pośrodku olbrzymiego mrowia ludzi błyszczała lektyka Inki otoczona licznym orszakiem jego dostojnej obsługi. Atahualpa niesiony był przez ośmiu herkulesowej budowy Indian, na wspinałym, lśnią-cym od złota i drogich kamieni tronie.

Wśród dźwięków trąb, rogów i muszli schodził ten nieprzejrany pochód w dolinę. Napięcie garstki Hiszpanów rosło aż do bólu.

Atahualpa większość swoich wojsk zostawił za miastem i ciągnął do Cajamarci w otoczeniu tylko sztabu i pięciotysięcznej gwardii przybocznej. Ludzie ci powoli i uroczyście zapełniali rozległą przestrzeń głównego placu twierdzy, wokół którego czaili się Hiszpanie. Gdy wreszcie zamarł wszelki ruch, Atahualpa uniósł się na swoim tronie, aby spojrzeć na dziwnych białych ludzi, których przybył odwiedzić we... własnych posiadłościach.

Chwila pełna niesamowitego napięcia.

Na scenę wystąpił teraz kapelan wyprawy, który podszedł ku władcy Inków i odczytał mu przewidziane w zarządzeniu królewskim Requerimiento, czyli żądanie, aby nowe ludy uznały władzę Hiszpanów, pokojowo powitały królewskich wysłanników i przyjęły wiarę, którą ci im nieśli. Dominikanin pismo trzymał w brewiarzu, z którego je z namaszczeniem odczytywał. Atahualpa nie widział nigdy czytającego.



Zainteresował się więc brewiarzem, który uznał zapewne za jakiś tajemniczy przedmiot, który sam też potrafi mówić. Po rozczarowaniu, nastrój Atahualpy zmienił się raptownie. Wytknął najeźdźcom dotychczasowe gwałty, zuchwałstwa, i ostrzegł, że pociągnie ich za to do odpowiedzialności. Rozmowy gwałtownie zbliżały się do bezowocnego końca.

Pizzaro był na to przygotowany. Oficjalny akt państwowy, został odczytany, a więc prawnie stało się zadość. Teraz nieuchronnie zbliżał się moment rozstrzygający. Nieodwracalne: albo — albo.

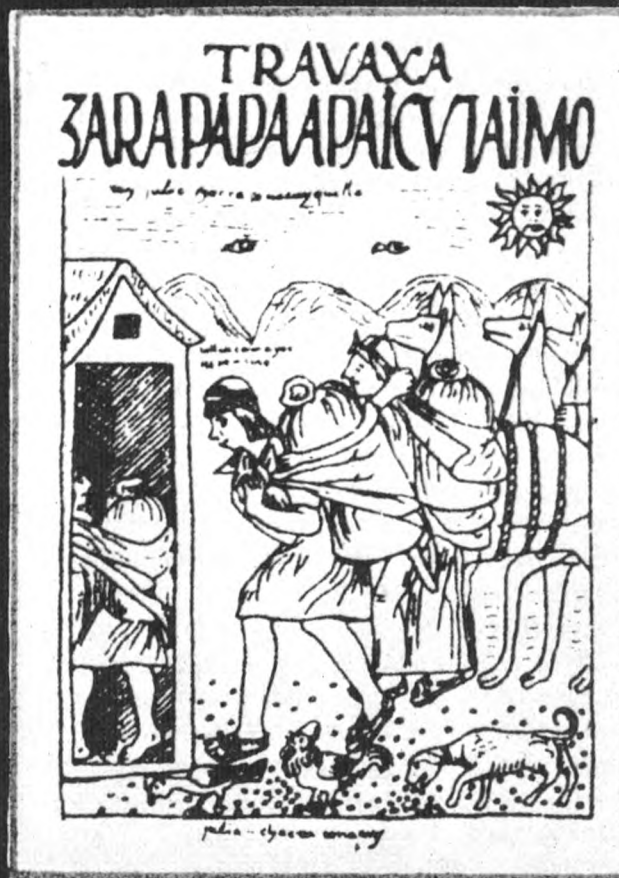
Zgromadzonym na głównym placu Cajamarci dostojnikom indiańskim, wojownikom przybocznej gwardii, a także samemu Atahualpie nawet przez moment nie pojawiła się w głowie myśl o zbrojnym ataku tak małej garstki, liczącej przecież niespełna dwustu ludzi. Ale konkwistadorom Pizzara można odmówić wszystkiego, tylko nie odwagi i zrzeczności w boju.

Z historycznym bojowym okrzykiem „Santiago y a ellos” (Święty Jakubie, w nich, bij!) wyspały się z ukrycia grupki pieszych i konnych Hiszpanów, a równocześnie zagrzmiały muszkiety dobrze ukrytych strzelców. Indianom musiało się wydawać, że nastąpił jakiś kataklizm. Tymczasem Francisco Pizarro ze swoim dobrze uzbrojonym hufcem już torował sobie drogę do lektyki Atahualpy, którego bronił żywy mur jego gwardii. Gdy tylko Hiszpanie wycieli w pień jednych wojowników, natychmiast osłaniał go nowy pierścień obrońców biernie ginących za swego władcę. Rozkazy były ścisłe. Nikomu z atakujących Hiszpanów nie wolno tknąć Inki. Atahualpa miał być pojmany żywcem. Tak się też stało. Zaskoczenie powiodło się całkowicie.

Zuchwały atak trwał niespełna pół godziny, ale zdecydował on o losach wielkiego państwa i dynastii peruwiańskich władców. „Zagadkowe władztwo Inków — jak pisał S. Huber w swojej książce „Państwo Inków” — odeszło wraz z zachodzącym słońcem w otchłań przeszłości, z której nie ma powrotu. Dokonało się wydarzenie fantastyczne, nierealne jak sen. I od tego dnia życie wszystkich ludzi w Peru zaczęło nosić na sobie stygmat owej półgodziny”.

Runęło w gruzy państwo, które opierało się na jednym tylko człowieku. Na jego zgliszczeniach zostali dwaj władcy: nowy — Pizarro, i stary — Atahualpa. Początkowo Hiszpan okazywał nawet Ince wiele poważania i sympatii. Lubił z nim jadać, grał z nim w... szachy. Tajniki tej gry opanował Atahualpa w zadziwiająco krótkim czasie i grał z wielkim talentem i zrozumieniem. Idylla ta trwała jednak krótko.

Atahualpa ze zrozumiałych względów prag-



nał wolności. Pewnego więc dnia zaskoczył Pizzara swoją legendarną dziś propozycją, że w zamian za uwolnienie go napelni komnatę (7 × 6 m) do wysokości swego wzrostu — złotem. Władca „Dzieci Słońca” zorientował się bowiem, że Hiszpanie marzą tylko o tym kruszcu. „Wy go chyba jecie, skoro potrzebujecie go tak dużo?” — zapytał nawet pewnego razu.

Pizzaro przystał na propozycję i oto po rozesłaniu gońców zaczynają przybywać do Cajamarci indiańscy tragarze ze skarbami, które kilka pokoleń Indian nagromadziło w pałacach i świątyniach Cuzco, Titicaca, Huamachuco i w wielu innych miejscach. W słynnej, istniejącej do dziś, komnacie gromadzą się złote naczynia, wizerunki zwierząt, roślin, jak na przykład szczerozłote kolby kukurydzy, a nawet złote posagi Inków.

Hiszpanie posadzili jednak Atahualpę o zdradę. Oskarżono dawnego władcę, że złoto gromadzi się zbyt wolno, że on celowo wstrzymuje dostawy, aby zyskać na czasie i zebrać przeciwko Hiszpanom wojsko. Sytuacja Inki stawała się beznadziejna. Biada zwyciężonym! Wkrótce powołano trybunał, który skazał Atahualpę na spalenie na stosie. Inka za swoje złoto kupił śmierć zamiast wolności. Stara legenda mówi, że wśród 24 członków tego sądu 13 głosowało „winien” i że Indianie w ciągu roku wszystkich ich odszukali i skrytobójczo pozbawili życia.

Sam Atahualpa wyrok przyjął z rezygnacją. Zgodził się również przyjąć chrzest, aby uniknąć spalenia na stosie — jak wszyscy Indianie wierzył bowiem, że dalsze istnienie duszy związane jest z istnieniem ciała.

W dwie godziny po zachodzie słońca, w dniu 3 sierpnia 1533 roku Atahualpa — ostatni władca

Tawantinsuyu — zginął uduszony na placu Cajamarci. Po ogłoszeniu, że wyrok został wykonany, na dworze Inki rozgrywały się sceny prawdziwej rozpacz. Zwłoki Atahualpy zniknęły w tajemniczy sposób, a jego ziomkowie postarali się, aby je zmumifikować wedle obyczaju przodków i dobrze ukryć przed oczami Hiszpanów.

Pizzaro zaś, dawny świniopas — w chwili swojej śmierci już markiz i wicekról Peru — w osiem lat później zginął w Limie z ręki jednego ze swych rodaków.



MIASTO KRÓLÓW

Wielki „Boeing 707” płynie spokojnie na wysokości dziesięciu tysięcy metrów. Spiętrzone masywy skalne Andów nawet z tego pułapu wyglądają majestatycznie. „Iberia”. Taki właśnie czerwony napis widnieje na silnikach naszej maszyny. Pasażer nie powinien bowiem zapomnieć, że leci maszyną hiszpańskich linii lotniczych. Takie są zasady reklamy. Być może,

udając się następnym razem do Południowej Ameryki, znowu wybierze on tego samego przewoźnika. Przecież i tradycja coś znaczy. Hiszpanie przed pięcioma niemal wiekami dotarli tu pierwsi...

Przystojna stewardesa przynosi kolejny posiłek. W komfortowym zaciszu klimatyzowanej kabiny, z masą jedzenia na stoliku, z trudem wyobrazić sobie można roślinność Indian mieszkających w tych górach, nad którymi unosi się nasz samolot. Pod skrzydłami maszyny jawią się czasem skupiska prymitywnych domostw



w dzikich górskich dolinach, gdzie nie ma nawet ścieżek łączących z zewnętrznym światem. Tam żyją dziś ludzie na pograniczu głodowej śmierci. A przecież nasz „Boeing” leci nad dawnym imperium Inków, gdzie koła wprawdzie, ale i głodu nie znano.

Daleko w dole krąży na rozpostartych skrzydłach wielki ptak. To może być tylko kondor. Jesteśmy wyżej. „Wyżej niż kondory” bywają czasem tylko alpiniści i — pasażerowie trans-

kontynentalnych samolotów doby dzisiejszej.

Kończy się któraś tam z kolei godzina lotu, samolot traci wysokość, pod nami fale oceanu. Po kilkunastu minutach wielka maszyna ląduje na międzynarodowym lotnisku w Limie. Stolica Peru nie ma nic wspólnego z Imperium Inków. Powstała wówczas, kiedy imperium to upadło pod ciosami hiszpańskich zdobywców.

Tawantinsuyu. Ta melodyjna nazwa znaczy w przybliżeniu Kraina Czterech Stron Świata, a przed przybyciem Hiszpanów obejmowała rozległe posiadłości inkaskich władców. Inkowie



mieli znakomite drogi prowadzące do każdego z czterech regionów ich imperium. Dzisiaj zresztą też wyróżniłbym cztery „światy” składające się na współczesne Peru, jakkolwiek kryteria podziału będą inne niż kiedyś.

Tak więc: Świat Pierwszy stanowią wody oceanu, obmywające peruwiańskie brzegi. Świat Drugi — nadbrzeżne pustynie bogate w relikty starożytnych kultur, starszych jeszcze niż cywilizacja Inków, a zarazem najbardziej rozwinięta



część kraju. Świat Trzeci — to niebotyczne Andy z niedożywionymi wiecznie Indianami. I wreszcie Świat Czwarty, obejmujący skłębioną dżunglę, w której żyją ludy zdobne w barwne pióropusze z piór tukana, polujące, tak jak przed wiekami, z łuków i śmiercionośnych dmuchawek.



W Peru istnieje jeszcze Świat Piąty. Jest nim Lima, niegdyś stolica hiszpańskiego Peru, założona przez Pizzara, a obecnie kosmopolityczna metropolia i centrum życia współczesnych Peruwiańczyków, starających się zatrzeć granice, jakie dzielą mieszkańców czterech pozostałych peruwiańskich „światów”.

Po przybyciu do Limy bardzo się rozczarowałem. Spodziewałem się słońca, upałów, tymczasem było zaledwie czternaście stopni powyżej zera, całkowite zachmurzenie i garua, czyli



coś pośredniego między mgłą a mżawką, co — jak się wnet dowiedziałem — stanowi absolutną specjalność Limy. Teoretycznie Lima, leżąca zaledwie dwanaście stopni na południe od równika, powinna mieć gorący klimat tropikalny. Tak pewnie by nawet było, gdyby nie istnienie zimnego prądu, opływającego w najbliższym sąsiedztwie wybrzeże kontynentu. Jego wpływ, w połączeniu z barierą gór dzielącą Limę od wnętrza kraju, powoduje właśnie owo dokucz-



liwe zachmurzenie i stałą wilgoć w ciągu co najmniej kilku miesięcy w roku. Zabawne, że dywan chmur pokrywa obszar tylko niewiele większy niż samo miasto. Wystarczy więc wyjechać ze stolicy kilkadziesiąt kilometrów w dowolnym kierunku, aby plawić się w słońcu i dostawać „gęsiej skórki” na samą myśl o powrocie do miasta. Względny pocieszeniem dla limañczyków jest fakt, że przy wiecznej wilgoci deszcz tam jednak nigdy nie pada, i zakup parasola zaliczyć trzeba do wydatków luksusowych. Zgnębieni garują mieszkańcy Limy podejrzewają, że założenie stolicy przez Pizzara właśnie nad rzeką Rimac nastąpiło za radą podbitych Indian, którzy w ten sposób chcieli wyrzucić zemstę na najeźdźcach.

Tak było czy inaczej — spiżowy Pizzaro, umieszczony na cokole pomnika tuż obok Plaza de Armas (Plac Broni), z dumą spogląda na ów najstarszy plac założonej w 1535 roku stolicy, który w jego oczach obrastał wspaniałymi gmachami. W ciągu trzystu lat stolica Peru była królową miast Południowej Ameryki. Tu powstał pierwszy uniwersytet kontynentu, San Marcos, pierwsze drukarnie i wiele innych szacownych instytucji. Z Limy promieniowała na całą Amerykę kultura, moda, architektura. Dziś dwu i półmilionowa stolica szczyci się wieżowcami z betonu i szkła, ale i niepowtarzalny urok pałaców, brzuchatych rzeźbionymi balkonami — trwa. W epoce kolonialnej, w czasie złotego okresu Limy, ukryte za drewnianym ażurem rzeźbionych okien wielkookie senioritas obserwowały uroczystości kościelne i przyjmowały hołdy zakochanych caballeros.

Prześliczne balkony nikną już w stolicy, tlamszone nikłowymi ramami wystaw wielkich

magazynów. Dawne uroki znaleźć można w całej krasie przede wszystkim w pałacu Torre Tagle, służącym dziś urzędnikom peruwiańskiego ministerstwa spraw zagranicznych, oraz w budynku spełniającym prozaiczne funkcje restauracji, zwanej „Trzy Monety”.

Pizzaro spoziera ze swego cokołu także na katedrę, która w jednej z krypt mieści jego doczesne szczątki. W szklanej trumnie, za parę soli* obejrzyć można mały szkielet człowieka, który zniszczył potężne Imperium Inków.

W kosmopolitycznej Limie niełatwo dziś doszukać się reliktyw z epoki dawnych władców Peru. Przeciętny turysta znajduje najczęściej tylko... papierosy „Inca” lub lemoniadę „Inca Cola”. Co bardziej dociekliwi wędrowcy trafiają czasem do stołecznych muzeów, a zwłaszcza do słynnego „Museo de Oro”, które mieści w swoich zbiorach nieprzebrane skarby w postaci wyrobów inkaskich: złotych naczyń, blach i ozdób wszelkiego rodzaju. Być może,

* Sol de oro — moneta peruwiańska.

część z nich pochodzi ze „Złotej Komnaty” Atahualpy. Całość ma niewyobrażalnie wielką wartość, jeżeli uwzględni się nie tylko sam kruszec, ale przede wszystkim walory artystyczno-zabytkowe zgromadzonych przedmiotów.

Inkowie nie kochali złota w sposób właściwy Europejczykom, traktowali je po prostu jako użyteczne tworzywo do sporządzania przedmiotów codziennego użytku i ozdób. Stąd też często pokrywali je farbami, okładali nim przedmioty ze zwykłych metali, a także łączyli z innymi materiałami. Niezbyt rożgarnięci a chciwi konkwistadorzy nigdy więc nie byli pewni, czy złoty kubek lub charakterystyczny nóż inkaski jest istotnie w całości wykonany z cennego kruszcu czy też nie. Tłumaczy to w pewnym stopniu wandalizm zdobywców hiszpańskich, którzy łamali sprzęty i ozdoby Inków, po to, aby mieć pewność, że istotnie zdobyli bogactwo.

Ostatecznie więc przetapiali wspaniałe dzieła inkaskich złotników i stali na stary kontynent tylko złote sztaby i bryły. Wskutek tego zresztą muzeum złota w Limie stało się jednym z bar-



dzo nielicznych miejsc na ziemi, gdzie sztuka Inków błyszczy pełnym blaskiem. Szczerozłote kilkukilogramowe wazy, mniejsze kubki, maski pośmiertne — wszystko o śmiałej stylizacji, zadziwiająco bliskie kierunkom współczesnej nam sztuki. W „Museo de Oro” zobaczyć można też przepiękne ozdoby, a raczej tkaniny z bajecznie kolorowych, a jednocześnie z wielkim smakiem zestawionych papuzich i tukanich piór. Największym powodzeniem u dawnych artystów cieszyły się piórka jaskrawożółte, symbolizujące z pewnością słoneczny blask, który tak wielbiły „Dzieci Słońca”.

Patrząc na zbiory „Museo de Oro” można częściowo zrozumieć konkwistadorów — niosących w jednym ręku miecz, a w drugim krzyż — że kiedy weszło w grę złoto, częściej odkładali na bok krzyż niż miecz. Jednym z bardziej znamienitych przedmiotów istniejących w tym muzeum (w ramach oddzielnej kolekcji broni) jest krucyfik, którego górne ramię stanowi rękojeść ukrytego wewnątrz sztyletu.

Trzysta lat hiszpańskich rządów w Ameryce Łacińskiej przyniosło wprawdzie względny rozwój ekonomiczny tego kontynentu, przyniosło rozwój upraw, kopalnictwa, nawet przemysłu, ale przyniosło też wiele cierpień mieszkańcom tej części świata. Nieudolność gubernatorów, chciwość bogaczy sprowadziła na Indian głód. Metysi, obciążeni ponad miarę pracą, podatkami, pogardliwie traktowani i Kreole* odpycha-

* Kreole — potomkowie w prostej linii kolonizatorów hiszpańskich, portugalskich i francuskich, urodzonych i osiadłych w Ameryce Łacińskiej oraz na południu Stanów Zjednoczonych.







ni od władzy przez wyniosłych przybyszów z Europy, buntowali się.

Mnożyły się we wszystkich hiszpańskich koloniach bunt, słyhać było coraz głośniejsze żądania zasadniczych reform, poprawy bytu. „Śmierć złym rządóm” rozlegało się hasło od północnych brzegów Morza Karaibskiego aż po zimną Patagonię. Rewolty wstrząsały potężnym niegdyś Imperium Hiszpańskim.

Jednym z charakterystycznych wystąpień tego typu był bunt (r. 1780) pod wodzą pewnego poborcy podatkowego, którego przodków uznano za potomków władcy inkaskiego Tupac Amaru. On sam przybrał również imię Tupac Amaru II* i ściągnął pod swe sztandary tysiące wynędzniałych chłopów. Ułynęło wiele miesięcy, zanim 15 tysięcy żołnierzy hiszpańskich, ściągniętych z Limy, zdołało uśmierzyć bunt. Bohaterski Tupac Amaru II poniósł męczeńską śmierć z rąk Hiszpanów. Jego ciało rozerwano końmi. Ofiara, chociaż nie poprawiła losu Peruwiańczyków, poderwała jednak do walki rzesze chłopów indiańskich.

Požoga buntu ogarnęła cały kontynent od Meksyku do Argentyny. Rozpoczęła się seria wybuchów znanych pod nazwą wojen niepodległościowych w Ameryce Łacińskiej. Hasłem wywoławczym dla tych wstrząsów stało się wejście wojsk Napoleona do Hiszpanii.

W kwietniu 1810 roku powstaje pierwsza republika uniezależniona od Hiszpanii. Republika ta wprawdzie jeszcze upada, ale jej współtwórca Simon Boliwar już rozpoczął swój pochód ku sławie największego bohatera walk

* Dzisiaj postać Tupac Amaru II święci swój triumf. Jest on symbolem walki o wolność i sprawiedliwość.

o niepodległość Ameryki Południowej. Druga obok niego postacią w walce o słuszną sprawę został José de San Martín — Kreol argentyński. On i jego wojsko odegrali ogromną rolę w uwolnieniu Chile spod hiszpańskiej władzy, on także zlikwidował ostatni organizm państwowy uzależniony od Hiszpanów na kontynencie, jakim było Peru. Powstała nowa republika. Był to dzień 28 lipca 1821 roku.

Walki z Hiszpanami o utrwalenie niepodległości Peru ciągnęły się jeszcze trzy lata i dopiero bitwa koło Ayacucho w grudniu 1824 przyniosła ostateczną klęskę garnizonom hiszpańskim. Bitwa ta uważana jest za ostateczne zwycięstwo patriotów południowoamerykańskich w wojnach niepodległościowych.

Dla byłego wicekrólestwa Peru uzyskana w XIX wieku niepodległość nie przyniosła wiele dobrego. Potomkom Inków zaś, z których składało się przeszło osiemdziesiąt procent ludności w Andach, przybyło jeszcze więcej ciemniejszych, roszcujących sobie pretensje do władzy i zysków. Dawna perła ustroju kolonialnego z trudem przekształcała się w XIX-wieczne państwo. Rozległość obszaru, klimat i ukształtowanie terenu, małe opady na wybrzeżu, trudności transportowe w górach, brak dobrej ziemi ornej — utrudniały rozwój i postęp. W paradoksalny sposób bogactwo zasobów mineralnych przysparzało Peru kłopotów, a złoża guano i saletry spowodowały nawet wojnę z Chile.

Peru bowiem, przy całym wewnętrznym chaosie, w stosunkowo krótkim czasie zaplątało się aż w trzy wojny: z Boliwią, Hiszpanią i Chile. Młode państwo w wojnach tych straciło wiele, zarówno pod względem terytorialnym jak i politycznym.

Zmieniający się jak w kalejdoskopie prezydenci i ich zwolennicy stale zakłócali i tak chwiejną równowagę polityczną i gospodarczą kraju, uzależnionego stale od obcych mocarstw. Właściwie dopiero u progu XX wieku, za czasów prezydenta Nicolasa Pieroli (sterowanego zresztą także przez doradców zagranicznych) nastąpił w Peru okres względnej spokoju i stabilizacji.

Od czasu do czasu zdarzał się i w tym kraju bardziej światły dyktator, a wtedy państwo funkcjonowało nieco lepiej, choć dla szerokiej mas ludności nie miało to żadnego znaczenia. Większość Indian, pozbawionych ziemi, głodowała po staremu, a robotnicy w kopalniach pracowali nadal ponad siły.

Zupełnie nowy rozdział w historii Peru rozpoczął się stosunkowo niedawno, a dokładnie w dniu 3 października 1968 r. Tego dnia nastąpił kolejny przewrót i kolejnego prezydenta, Belaunde Terry, pozbawiono władzy. Rzecz odbyła się w stylu południowoamerykańskim:

Do pałacu prezydenckiego w Limie wkroczył mały oddział żołnierzy i bez przeszkód ze strony wartowników podążył do części mieszkalnej gmachu. Oficer, dowodzący tym oddziałem, przed drzwiami sypialni zakrzyknął raz i drugi: „Senior Presidente!”, a kiedy ukazał się Belaunde, oficer zakomunikował mu, że został obalony. Po czym bosego eks-prezydenta zawieziono autem na lotnisko, i tak jak stał, w piżamie, wsadzono do samolotu odlatującego do Buenos Aires.

Nowym prezydentem został generał Juan Velasco Alvarado, który, jak się początkowo zdawało, niewiele różnił się od innych wyższych oficerów peruwiańskich. Prędko jednak okazało się, że generał szczerze dąży ku rady-



kalnym reformom w swoim kraju i do uzyskania niezależności narodowej. W sześć dni po objęciu władzy Velasco upaństwowił część obcych monopolii, a przede wszystkim wywłaszczył International Petroleum Company — filię amerykańskiego giganta naftowego — zniechęcony symbol wyzysku obcego kapitału.



W czerwcu 1969 roku z balkonu pałacu prezydenckiego powtórzył zebranym tłumom słowa Wielkiego Indianina Tupac Amaru II: „Chłopie, nigdy więcej pan twój nie będzie żył z twojej biedy”.

Od tego momentu rozpoczęła się w Peru wielka reforma rolna, w ramach której, w ciągu



pierwszego roku jej trwania, wywłaszczono grunty obszarników o łącznej powierzchni półtora miliona hektarów. Reforma ta do końca 1973 roku przyniesie ziemię całemu bezrolnemu i małorolnemu chłopstwu, a więc przeszło trzem milionom ludzi.

Powołany do życia Wojskowy Rząd Rewolucyjny wydał i do dziś wydaje dekrety oddające w dużej mierze pod kontrolę państwa górnictwo, przemysł, handel, banki itp. Rząd ten podjął też decyzje zmierzające do całkowitej likwidacji analfabetyzmu w Peru oraz zarządził dla urzędników państwowych i oficerów obowiązkową naukę kiczua — pogardzanego dotychczas języka Indian. Jednym słowem, Alvarado i jego zwolennicy konsekwentnie dążą do „peruwianizacji” państwa, czyli do politycznego i gospodarczego uniezależnienia się Peru od obcych wpływów. Co więcej, wszelkie ustawy wytyczające ten kierunek nie tylko się uchwała, ale wbrew wszelkim trudnościom — realizuje. A to już na terenie Ameryki Łacińskiej stanowi zupełną nowość.

Dekrety wypracowywane w pałacu prezydenckim przy Plaza de Armas w Limie z uwagą śledzone są nie tylko w Peru, ale — trzeba stwierdzić bez przesady — w całej Południowej Ameryce. Dla nas Polaków ciekawostką nie bez znaczenia jest fakt, że pałac ten — podobnie jak wiele innych reprezentacyjnych gmachów w stolicy Peru — przebudowany został według projektu polskiego architekta Ryszarda Jaxa-Małachowskiego*

Małachowski nie był zresztą jedynym Pola-

* Zmarł w roku 1972, w wieku 90 lat, a jego wspaniały pogrzeb zgromadził ludność całej Limy.





kiem, który położył wielkie zasługi w rozwoju Peru. I tak np. Ernest Malinowski zbudował słynną transandyjską kolej peruwiańską, funkcjonującą do dziś. Edward Habich założył pierwszą w Południowej Ameryce Politechnikę, którą następnie Gerard Unger przekształcił w nowoczesny zakład naukowy, zwłaszcza na wydziale mechaniki. Ponadto znakomitymi wykładowcami uniwersytetu w Limie byli: Władysław Folkierski — matematyk, Witold Szy-szko — botanik, i inni.

Współczesna kolonia polska w Peru nie jest zbyt liczna. Skupia się głównie w Limie i składa się przede wszystkim z potomków wspomnianych Polaków. Tak więc zarówno syn, jak i wnuk Jaxa-Małachowskiego są również architektami. Tomasz Unger — jednym z czołowych przedstawicieli życia gospodarczego, a jego matka, Dorota, od lat prowadzi po staropolsku otwarty dom dla Polaków przybywających do Peru. W Limie również mieszka Fernando — syn prof. Szyszły, artysta malarz. Z rodaków osiadłych na peruwiańskiej prowincji najbardziej znani to mieszkający od czterdziestu lat w Iquitos Jan Pawlikowski wraz z dorosłym potomstwem, i Benedykt Kalinowski żyjący w puszczech departamentu Madre de Dios i wzorem ojca zajmujący się ornitologią.

W 1972 roku odnotować warto również obecność w Peru grupy specjalistów polskich, którzy z ramienia ONZ nadzorują projekt odbudowy i rozbudowy Chimbote, miasta zniszczonego w wyniku trzęsienia ziemi.

Świat pierwszy:

PERUWIAŃSKIE MORZE

Godzinami patrzeć można na igraszki chłopców z nadbrzeżnych peruwiańskich wiosek, którzy uzbrojeni w bambusowe kije zręcznie manewrują swoimi caballitos de totoro. Ta dźwięczna nazwa oznacza po hiszpańsku „trzciny koniki”*, czyli po prostu wiązki sitowia związane na kształt małych łódeczek. Dosiada się ich okrakiem, dokładnie tak jak małego konika. Malcy potrafią tymi wodnymi pojazdami — w walce z wielkimi grzywaczami, rodzącymi się gdzieś na niezmiernych przestrzeniach Pacyfiku — manewrować z nadzwyczajną zręcznością. I nie ma w tym nic dziwnego, gdyż mieszkańcy wybrzeży Peru używają swoich „trzciny koników” od niepamiętnych czasów, a już pierwsi hiszpańscy konkwistadorzy podziwiali wielką dzielność morską tych prymitywnych wehikulów. Większe caballitos zresztą, podobnie jak tratwy z drzewa balsa, pełniły zawsze nader użyteczną rolę jako jednostki umożliwiające przybrzeżne połowy ryb. Z historycznych zapisków wiadomo również, że władcom Imperium Inków codziennie świeżą rybę, złowioną za pomocą tych właśnie „trzciny koników”, dostarczano do Cuzco, miasta leżącego w wysokich Andach. Zadanie to wykonywali legendarni już szybkobiegacze, zwani w języku Inków chasquis, którzy w całym rozległym państwie „Dzieci Słońca” bardzo skutecznie pełnili rolę posłańców, przekazując przesyłki, rozkazy i polecenia.

* Totoro — oznacza po hiszpańsku sitowie.

Wybrzeże współczesnego Peru rozciąga się na przestrzeni około 2000 kilometrów w linii prostej, obejmując urozmaiconą linię brzegową od miejscowości Tumbes w pobliżu Ekwadoru do Tacna przy granicy chilijskiej. Brzeg ten jest na ogół niegościnnie, skalisty, pustynny i spada stromo w morze, zwłaszcza na południu. W niektórych częściach kraju, już w odległości niespełna trzech mil od brzegu morze jest tak głębokie, że w jego otchłani mogłyby się pomieścić wyniosłe szczyty Andów.

Peruwiańczycy za swoje morze uważają przybrzeżny pas Oceanu Spokojnego szerokości 200 mil morskich. Na tym olbrzymim obszarze rząd peruwiański sprawuje władzę i zastrzega sobie wiele przywilejów, zwłaszcza w dziedzinie rybołówstwa. Akwen ten zawiera prawdziwe skarby. Obecnie są to głównie ryby, ale przed stu laty skarbem tym było przede wszystkim guano, czyli... ptasie odchody.

Peru w czasach zależności kolonialnej żyło głównie z kopalni srebra, ale po roku 1840 prywatni przedsiębiorcy odkryli „złotą żyłę” w postaci guana, gromadzącego się od wieków na przybrzeżnych wyspach Chincza. Znajdują się one w pobliżu miejscowości Pisco, w odległości około 200 km na południe od Limy. Te bezdeszczowe skały od tysięcy lat służyły za miejsce lęgu ptaków, i pokłady skamieniałego nawozu sięgały tam do 30 metrów grubości. Te właśnie odchody ptasie okazały się wartościowym nawozem, niezmiernie potrzebnym dla uprawnych pól w Wielkiej Brytanii i Niemczech.

Dziesiątki prywatnych biznesmenów rzuciło się więc na guanowe eldorado. Interes był znakomity, ponieważ w Europie tonę guana

sprzedawano po osiemdziesiąt dolarów. W sumie oblicza się dziś, że dochody, które dało guano, są większe niż wartość całego złota zrabowanego w Peru przez Pizzara. Oczywiście, zarówno bogactwa Inków jak i pieniądze za guano — nie przyczyniły się w najmniejszym stopniu do rozwoju kraju. Dyktatorzy Peru nakładali na przedsiębiorców wysokie podatki, które w małym tylko stopniu zasilaly kasę państwową. Koniunktura guanowa została tak dalece zmarnowana, że nawet Lima nie potrafiła z tych dochodów zainwestować nic lub prawie



nic w potrzebne podmiejskie uprawy rolne. Całą żywność sprowadzano z zagranicy. Kiedy więc ostatecznie ustały dopływy wielkich dochodów z eksploatacji guana, musiano nadal, mimo całkowitego już braku pieniędzy, sprowadzać żywność z zewnątrz, pod groźbą głodowej śmierci miasta.

Główne pokłady guana przy rabunkowej gospodarce wystarczyły zaledwie na czterdzieści lat. Ten krótki okres zapisał się haniebnie

w historii ludzkości. Praca przy wydobywaniu skamieniałego guana była nadzwyczaj ciężka. Trzeba było je rozbijać oskardem, łopatą, ręcznie ładować na statki płynące wokół przylądka Horn do Europy. Indianie z gór umierali przy tej robocie masowo. Wobec tego milionerzy guanowej koniunktury sprowadzili przeszło 80 tysięcy kulisów chińskich, którzy płacili niewolniczą pracą na wyspach Chincza i rejonach przyległych za... przejazd do Peru.

Guano dało kilku bezwzględny przedsiębiorcom fortunę, ale to samo guano, smutnym zrzadzeniem losu, przyczyniło się także do ostatecznego zatarcia śladów przeszłości Wyspy Wielkanocnej, której tajemnicę starał się zbadać Thor Heyerdahl.

Tajemnicę wielkich posągów pomogłaby, być może, wyjaśnić tubylecza ludność Wyspy Wielkanocnej. Niestety jednak, zniszczyło ją



właśnie guano. Wielka tragedia tego ludu nastąpiła w roku 1862. Wtedy to do brzegów zagubionej w oceanie drobiny łądu dobiło siedem peruwiańskich żaglowców. Byli to piraci, którzy szukali niewolników do pracy na wyspach Chincza. Porwali oni bądź wymordowali całą tamtejszą ludność. Statki wywiozły ją na peruwiański brzeg. Ten niesłychany gwałt spotkał się wprawdzie z protestem przedstawiciela Francji rezydującego w Limie, ale odniósł on nikły skutek. Ostatecznie załadowano około stu osób na statek, który miał odwieźć je do brzegów rodzinnej wyspy. Niestety, dotarło tam zaledwie piętnaście osób; reszta zmarła w podróży wskutek epidemii ospy, która wybuchła na statku. Pochodzenie tajemniczych kamiennych posągów zapewne nigdy już nie zostanie wyjaśnione.

Guanowe eldorado wkrótce po tych wydarzeniach przestało być dobrym interesem. Pokłady się wyczerpały, a skrzydlaci mieszkańcy skalistych wysp wynieśli się, szukając innych miejsc łęgowych. Opływający w dostatki członkowie rządu i świeżo upieczeni milionerzy zaczęli bankrutować jeden po drugim.

Swoistą kontynuacją dziejów peruwiańskiego guana jest historia peruwiańskiej mączki rybnej, cenionej dziś na całym świecie nie mniej niż kiedyś guano. Służy ona jako nawóz, ale także jako pasza dla świń i kurcząt. Sprzedaż jej przynosi rządowi peruwiańskiemu podstawowe w budżecie państwa dochody.

Sprawcą tego bogactwa jest opływający brzegi Peru prąd Humboldta. Ta wielka rzeka, której wody wyraźnie odcinają się w oceanie, ma temperaturę o pięć do siedmiu stopni niższą od otaczających ją wód. Różnica ta ma kapitalne znaczenie, ponieważ na obszarze prądu sprzyja

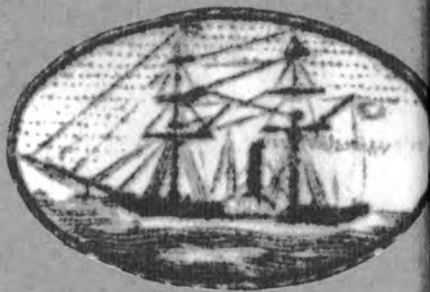
bujnemu rozwojowi planktonu, a tym samym powoduje znakomite warunki dla życia wszelkiego rodzaju ryb.

Królową tych wód jest podobna do sardynki mała anczoweta, której długość nie przekracza piętnastu centymetrów. Tworzy ona jednak gigantyczne ławice i daje się bez trudu łowić wzdłuż całych niemal brzegów peruwiańskich właśnie w nurcie prądu Humboldta i to w bliskim zasięgu wybrzeża.

Flota poławiająca tę tak zwaną sardelę peruwiańską składa się obecnie z przeszło 1 400 statków, zbliżonych wielkością do znanych nam bałtyckich kutrów, stacjonuje głównie w portach Callao, Pisco i Chimbote.

Dzięki tym niepozornym w gruncie rzeczy stateczkom, Peru od roku 1964 dzierży nieprzerwanie pierwsze miejsce w połowach światowych. W roku 1971 peruwiańscy rybacy odłowili dwanaście i pół miliona ton ryb! (Polacy niespełna pół miliona). Całość tej ogromnej masy ryb idzie do przeróbki przemysłowej i trafia na rynki światowe w postaci poszukiwa-





nej mączki rybnej. Paradoksalna jest sytuacja, że światowa potęga w rybołówstwie, jaką jest Peru, cierpi na brak ryby nadającej się do konsumpcji. Ogromna większość Peruwiańczyków, zwłaszcza mieszkających dalej od wybrzeża, pozbawiona jest zupełnie niemal tego wartościowego pokarmu. Decydują o tym znikome połowy ryb nadających się do konsumpcji, a także brak chłodzi i odpowiednich środków transportu w rozległym kraju bez rozwiniętej sieci komunikacyjnej.

W ostatnich dopiero latach rząd generała Velasco podjął energiczną akcję mającą na celu poprawienie tego stanu rzeczy. Do najnowszych pociągnięć w tej dziedzinie należy m.in. powstanie mieszanej polsko-peruwiańskiej spółki, w ramach której Polacy, mający duże doświadczenia w rozwijaniu własnego rybołówstwa morskiego, będą pomagać swoim peruwiańskim partnerom w zorganizowaniu połowów konsumpcyjnej ryby morskiej. We wrześniu

1972 roku pierwsze dwie jednostki łowcze „Centarus” i „Crater”, z doświadczonymi załogami, odplynęły z Gdyni do Peru.

Jest wczesny ranek. Nad całym Callao, portem i miastem, unosi się charakterystyczny zapach mączki rybnej, na który w naszej Gdyni tak bardzo narzekają mieszkańcy i turyści. W tym największym peruwiańskim porcie dobiega on nie tylko z zakładów przetwórczych, ale również ze stert worków, czekających na nabrzeżu na statki mające je zabrać do Europy.

Pan Lopez, uprzejmy pracownik miejscowego Instytutu Morskiego, który podjął się dostarczyć mnie na statek rybacki, wskazuje sterczący nad magazynem komin jakiegoś statku. Bez trudu rozpoznaję na nim znak Polskich Linii Oceanicznych.

— Ze-rom-sky — z trudem wymawia mój przewodnik obcą sobie nazwę — też ładuje mączkę.

Kiwam głową bez większych emocji. Właśnie wczoraj byłem na naszym statku, a zresztą wiem, że Polska corocznie zakupuje w Peru około 60 ton wysokowartościowej mączki, czyli mniej więcej trzy razy tyle co Wielka Brytania i połowę tego co Hiszpania lub Włochy. Gdyński armator od wielu już lat utrzymuje regularne połączenia z zachodnim wybrzeżem tego kontynentu.

Zbliżamy się do basenów rybackich. Nie-wielkie, 200—300-tonowe jednostki stłoczone są burta w burtę jak samochody na parkingu.

Pan Lopez skręca tak szybko na trap jednego z woniejących rybą stateczków, że ledwie mogę przeczytać jego nazwę: „Santa Maria”. Zaczynam się trochę czuć tak, jak członek załogi Kolumba. Skiper — chudy, drobny — w niczym nie przypomina jednak wielkiego admirała. Mruknął coś, że niby się cieszy z mojej obecności. Ale entuzjazmu nie widzę. „Rybak, jak to rybak — może się boi, że przyniosę mu pecha?” — usprawiedliwiam go w duchu.

Zresztą skiper nie ma czasu. Pokrzykuje bez przerwy na nieliczną, dwunastoosobową załogę. Wkrótce odchodzimy ostrożnie od nabrzeża. Ciasno tu bardzo. Nasz wódz sam stoi przy sterze i mija o milimetry wszechobecne bliźniacze jednostki.

Wreszcie jesteśmy za falochronem. Kapitan „Santa Marii” trochę mięknie, przyjmuje ode mnie papierosa i... zaprasza do kabiny na wino. Tam uzyskuję od niego sporo wiadomości o sposobie połowu anczewety.

— Senior, ja nie wierzę za bardzo w te echosondy i sonary, instalowane teraz na nowych jednostkach. Najbardziej wierzę w to — tu stuknął się po wydatnym nosie — i w kor-

morany. Tak, one zawsze wiedzą najlepiej, gdzie jest ławica.

Skiper „Santa Marii” wyjaśnił mi też z grubsza taktykę połowów. Otóż po znalezieniu ławicy należy stwierdzić, jaki jest kierunek i szybkość posuwania się ławicy, jej wielkość, i głębokość, na której się znajduje. Ryby na ogół nie boją się statku, ponieważ zwykle woda jest mętna od planktonu. W takiej nieprzejrzystej wodzie, po ustaleniu kierunku posuwania się ławicy, należy ją wyprzedzić, wyrzucić sieć i zaciągnąć ją po wejściu ryby.

Kapitana wywołano na pokład. Poszedłem za nim. Rybacy przygotowywali sieci. Były to nylonowe okrężnice, długości pięciuset metrów. — Anczeweta nie chodzi głęboko, do trzydziestu metrów — dorzucił kapitan — a nylon to dla rybołówstwa wspaniały wynalazek.

„Santa Maria” szła na pełne morze z szybkością chyba dziewięciu węzłów. Nad nami wisały nisko ciężkie chmury, które — jak mi powiedziano w Instytucie — zalegają w tej okolicy przez dziewięć miesięcy w roku.

Coś białego, jak obłok, wyłoniło się w oddali. Tak, to była konkurencja. Kormorany i głup-taki. Ptaki najwyraźniej atakowały ławicę ryb. Nasz skiper z mostku przyglądał się im chwilę. Pewnie zgodnie z tym, co mówił poprzednio — ustalał kierunek przesuwania się ławicy. Płynęliśmy z kwadrans. Na rozkaz skipera rybacy zaczęli wydawać z rufy długą sieć. Maszyna zwolniła obroty. Nie potrwało nawet pół godziny — gdy zamknęło się kolisko sieci i zaczęło się zacieśniać. Wkrótce mieliśmy ją już przy burcie. Widok był fantastyczny. Białe rybki drgając tworzyły zbitą, srebrzystą masę. Ile ich mogło być? Sto tysięcy? Milion?

— Mamy z pięćdziesiąt ton — sapnął zadowolony skiper.

Wielkimi siatkowymi koszami rozpoczął się przeladunek ryb do ładowni. Ciężka praca. Mieliśmy w niej, oczywiście, pomocników. Ptaki miały teraz ułatwione zadanie, zażerały się nieprzytomnie, wrywając nam ryby z sieci.

Patrzyłem na tę ucztę, mając w pamięci liczby podane mi jeszcze na lądzie. Szacuje się, że ptaki, żyjące u wybrzeży Peru, spożywają w ciągu roku około 800 tysięcy ton anczywety. Jakże niewiele w porównaniu z żarłocznością człowieka, który tylko pod peruwiańską banderą odławia ponad 12 milionów ton.

— Czy przy tak olbrzymich połowach te łowiska nie zostaną wyniszczone biologicznie? — pytałem moich rozmówców.

— Nie. Współpracujemy ściśle z ekspertami FAO. Istnieje orzeczenie, że można bezpiecznie odławiać około 9,5 miliona ton rocznie — brzmiała odpowiedź.*

„Santa Maria” i jej załoga sprawnie uporały się z pierwszym zaciągiem. Skiper wkrótce odszukał nową ławicę. Dostaliśmy w sieć 70 ton. I jeszcze jeden zaciąg — około 60 ton, według oceny kapitana. Prawie 200 ton w trzech zaciągach! Statek wypełniony był rybą po brzegi. Co to za wody! Rybę można z nich łopata wybierać!

W powrotnej drodze do portu owej przysłowiowej łopaty w akcji wprawdzie nie zobaczyłem,

* W połowie 1972 roku rybolówstwo peruwiańskie przeżyło ogromny wstrząs. Ławice anczywety odeszły dalej od wybrzeży Peru, zapewne wskutek zmian prądu Humboldta i połowy mączkodajnej ryby katastrofalnie spadły.

ale miałem okazję obserwować rzecz jeszcze bardziej szokująca.

Otóż spotkaliśmy na morzu nieco większą od naszej jednostkę, która wprost z sieci przenosiła do ładowni anczywetę za pomocą... rury ssącej, niczym zboże w elewatorze! Ten widok przekonał mnie, że nigdzie na świecie nie ma tak rybnego akwenu jak peruwiańskie morze.

Po powrocie do Callao mogłem iść śladem złowionych przez „Santa Marię” ryb, ale zrezygnowałem. Musiałbym prześledzić cały przemysłowy proces, gdzie rybki najpierw się gotuje, potem oddziela od nich olej, prasuje, proszkuje, aby uzyskać ostatecznie nawóz. Pomyślałem, że przecież nic innego nie robią ptaki z wysp Chincha, tyle tylko że bez wymyślnej aparatury.

W Peru więc produkuje się unowocześnione guano, a skrzydlate „zakłady przetwórcze” z wolna wymierają, ponieważ okrutny człowiek w coraz większym stopniu odbiera im surowiec. Smutna jest ingerencja człowieka w prawa natury.

Jeszcze smutniejsze jest naruszanie praw obowiązujących między ludźmi. W lutym 1972 roku zamordowany został w Limie „król mączki rybnej”, miliarder Luis Banchemo, jeden z inicjatorów połowu i przeróbki anczywety. Został zabity — jak podejrzewa policja — na zlecenie byłych hitlerowców, których spora liczba wciąż jeszcze ukrywa się na terenie całej Ameryki Południowej, w tym także w Peru. Przypuszcza się, że mordu tego dokonano w trakcie starań o uzyskanie pieniędzy od peruwiańskiego miliardera, potrzebnych byłym gestapowcom i zbrodniarzom wojennym na dalsze zacieranie za sobą śladów i na akcje polityczne.



Świat Drugi:

HISTORIA W PIASKU

Hiszpanie, którzy przybyli do Peru z Pizarrem, zastali i zniszczyli państwo Inków. Nie znaczy to, oczywiście, że Inkowie byli najdawniejszymi mieszkańcami ziemi, na którą wkroczyli przybysze z Europy. Jeszcze przecież konkwistadorzy natknęli się na ludy Chimu, świeżo (rok 1475) podbite przez rozszerzające swe imperium Dzieci Słońca. Ludy te, zamieszkałe w rejonie dzisiejszych miast Trujillo i Chimbote, posiadały stolicę zwaną Chan Chan.

Miasto to zajmowało, jak ustalili naukowcy, ogromną na ówczesne czasy przestrzeń — przeszło 30 kilometrów kwadratowych, a jego mieszkańcy nawadniali i uprawiali prawie dwa tysiące kilometrów kwadratowych pól, gdzie hodowali warzywa i kukurydzę. Potrafili oni również zbudować wielki mur obronny, mający chronić pracowitych rolników przed napadem innych plemion. Inwestycja ta okazała się, niestety, niecelowa. Chan Chan zdobyli Inkowie, jakkolwiek pod względem kultury materialnej stali znacznie niżej od ludów Chimu.

Sądząc bowiem z wyrobów ceramicznych, sztuka w Chan Chan była znakomicie rozwinięta, a naczynia, których stosunkowo dużo zachowało się do naszych czasów, są przepiękne. Obok walorów artystycznych, wazy i naczynia Chimu zdobione scenami z życia — stanowią doskonałe źródło informacji o obyczajach tego ludu. Warto przy okazji wspomnieć, że właśnie jeden z talerzy, przedstawiających ożaglowaną tratwę, stanowił podstawę do rekonstrukcji słynnej „Kon Tiki”.







Ogólnie przyjmuje się, że najwcześniejsze materialne szczątki cywilizacji przedkolumbijskiej na terenie Peru, znalezione w strefie nadbrzeżnej północnego Peru, pochodzą z 4000 roku przed naszą erą. Ludzie tego okresu, zajmowali się rybołówstwem, uprawą roli i żyli w ziemiankach pod powierzchnią upalnej pustyni.

W późniejszym okresie, co potwierdzają wykopaliska, istniała odrębna cywilizacja w południowym Peru, na półwyspie Paracas. Była ona bardziej rozwinięta od poprzedniej, a jej członkowie mieszkali już w lepiankach i potrafili budować wodociągi, sprowadzające wodę z odległych gór. Interesujące wykopaliska należące do tej kultury świadczą już o niezwykłych umiejętnościach prehistorycznych rzemieślników, którzy wytwarzali wspaniałą ceramikę oraz tkaniny.

Następna era, zwana okresem Chavin (800 lat p.n.e.), zdradza już umiejętności Indian w zakresie uprawy kukurydzy i wytworów ceramicznych. W późniejszym okresie występuje też kultura Mochica, Nazca i inne. Relikty w postaci wszelkiego rodzaju naczyń, waz, kubków z tego okresu uchodzą za najdoskonalsze dzieła sztuki w Nowym Świecie.

Okres Chavin w peruwiańskiej archeologii kryje w sobie wiele zagadek. Pojawiają się ozdoby z podobiznami jaguara i aligatora. Jest to nader osobliwe, ponieważ oba te zwierzęta żyją na wschodzie Peru w tropikalnej dżungli, naukowcy natomiast wszystkie kultury preinkaskie lokują wyłącznie bądź na wybrzeżu, bądź w wysokich Andach, gdzie ludzie nie mieli możliwości zetknąć się z aligatorem czy jaguarem.



Okolo roku 1000 naszej ery indiańskie kultury jak gdyby połączyły się w jedną kulturę zwaną Tiahuanaco. Wspinałym dowodem materialnym życia i pracy ówczesnych Indian są ruiny miasta leżącego na wysokości prawie 4 000 metrów (w dzisiejszej Boliwii) ze słynną Bramą Słońca pokrytą zagadkowymi symbolami na fryzie. Mroczne początki tej metropolii górskiej są nie wysychającym źródłem starych podań i hipotez naukowych.

Generalnie trzeba przyjąć jednak, że w granicach obecnego Peru, Boliwii, Ekwadoru i Chile, zarówno w pasie nadbrzeżnym jak i w wysokich górach — istniało wiele kultur rozmaitych ludów, których dzieje nikną w pomroce wieków.

Często nowe odkrycia, znaleziska burzą ustaloną już, zdawałoby się ściśle, chronologię i teorię o wzajemnych związkach żyjących niegdys



ludzi. Jest to oczywistym dowodem, że historia starożytna Nowego Świata jest nader mglista, i że na tym terenie wciąż są możliwe najbardziej zaskakujące odkrycia. Odkrycia te zresztą ciągle się zdarzają i nie zawsze są dziełem specjalistów.

Klasycznym tego przykładem jest wspomniana już kultura Paracas, której relikty przypadko-



wo odkryto w 1925 roku. Zaczęło się od wygrzebania z piasku kawałka doskonale zachowanej kolorowej tkaniny. Znaleździło to spowodowało prawdziwą inwazję archeologów na półwysep Paracas, którzy dotarli do wielkiego cmentarzyska i odnaleździ setki przedmiotów, takich jak naczynia kuchenne, broń, ozdoby wszelkiego rodzaju oraz słynne dzisiaj w całym świecie tkaniny z Paracas. Były nimi spowite zwłoki czterystu zmarłych przed wiekami ludzi, znakomicie zmumifikowane przez pustynny piasek. Obok wielokolorowych ponchos, turbanów, zawojów, płacht surowego płótna i worków — przy każdej takiej mumii znajdowano wiele różnych drobiazgów, stanowiących prawdziwy skarb naukowy dla archeologów. Tkaniny zaś wskazywały na niezwykle wysoki poziom kunsztu farbiarskiego i tkackiego na tysiące lat przed naszą erą.

Znawcy przedmiotu w muzeach i w kolekcjach prywatnych już na pierwszy rzut oka potrafią odróżnić staroperuwiańskie naczynia, garnki, czyli tak zwane „huacos”, i bezbłędnie orzec, które należą do kultur Mochica, Nazca, Chavin czy innych. Wszystkie one mają, oczywiście, charakterystyczne cechy, dobrze znane peruwiańskiej archeologii, borykającej się stale z pasjonującymi zagadkami.

Do najciekawszych problemów z tej dziedziny należy istnienie linii Nazca. Są one faktem tak niezwykłym, że na ten temat snuć można najbardziej fantastyczne hipotezy, z wizytą w Peru kosmicznych podróżników włącznie!

Jak wygląda stan faktyczny? Otóż w roku 1929 dr Paul Kosok odkrył pierwsze zadziwiające figury naziemne w rejonie Nazca (departament Ica). W kilka lat później Maria Reiche przystąpi-

ła do długoletniej pracy nad tymi zagadkowymi relikami zamierzchłej przeszłości, którą w pełni umożliwiło dopiero pojawienie się pierwszych helikopterów na peruwiańskim niebie. Zadziwiająca bowiem rzeczą jest, że figury te i linie geometryczne widoczne są z całą wyrazistością dopiero z lotu ptaka. Wtedy można zobaczyć genialnie wystylizowane wizerunki zwierząt. Do najciekawszych rysunków — wykonanych nie wiadomo przez kogo i nie wiadomo kiedy — należy, na przykład, pajak-olbrzym liczący sobie około 54 metrów, ptak z węzową szyją długości 110 metrów, podobna aligatora lub jaszczurki mierząca sobie 188 metrów. Niemniej zagadkowe są dwie podwójne spirale, z których większa ma 80 metrów średnicy, oraz stylizowana małpa z olbrzymim, również skręconym w spiralę ogonem. Większość z tych rysunków skomponowana jest z innymi zygzakowatymi i idealnie prostymi, z których niektóre bieżą niezależnie od ukształtowania terenu na przestrzeni wielu kilometrów.

Mimo wielu hipotez nic właściwie nie wiadomo, kto wykonał te rysunki i dlaczego. Istnieją przypuszczenia, że był to ogromny kalendarz astronomiczny związany z rolnictwem, ale można również uważać, że rysunki te powstały po prostu na gigantycznym kosmosdromie. Jeśli do badań pani Reiche dodać olbrzymi naskalny rysunek wyobrażający coś w rodzaju trójzęba Neptuna, a zwany „Kandelabrem Inków”, umieszczony na wysokiej nadmorskiej skale, teoria, że linie Nazca stanowią namierniki dla prehistorycznych kosmonautów, nabiera cech prawdopodobieństwa.

Zachowanie do dziś tajemniczych linii Nazca

wskazuje również na nieprawdopodobne wręcz cechy bezdeszczowej pustyni nadbrzeżnej w Peru. Mówi się, że zwykły odcisk buta, pozostawiony na niej, przetrwa co najmniej kilkanaście lat. W swoich wędrówkach po wybrzeżu peruwiańskim miałem okazję trochę takich śladów zostawić. Nie wiem jednak, czy będę miał jeszcze kiedyś okazję sprawdzić ich trwałość.

Wzdłuż peruwiańskiego wybrzeża podróżuje się asfaltową drogą numer jeden, czyli panamerykańską autostradą, przebiegającą cały kontynent od Alaski do Ziemi Ognistej. Przecina ona zresztą część słynnych linii, nie zauważonych przez budowniczych tej arterii. Wiedzie ona niemal cały czas wzdłuż pustynnego brzegu, gdzie skały i piaskowe diuny przypominają bardziej księżycowy krajobraz niż ziemię, na której bądź co bądź rodzi się sporo trzciny cukrowej, bawełny, owoców i warzyw. Wszystko to sprawia magia wody. W dolinach przy ujściu rzek jawią się nagle podróżnemu oazy zieleności. Czasem nawet, w środku pustyni zaskoczony przybysz dostrzeże, niby wyspę na oceanie, uprawy rolne stworzone dzięki nawodnieniu. Ten pustynny obszar, wbrew pozorom, dostarcza wielką część produktów rolnych trafiających na rynek.

Małe osady i większe miasteczka na wybrzeżu wyglądają niemal jednakowo. Gliniane domki, wielkości dwóch kiosków „Ruchu”, pozbawione są nawet dachu. Jego rolę pełni trochę palmowych liści, mających chronić ubogie wnętrza od gorącego słońca. Deszcz nie pada w tych okolicach nigdy, a jeśli już trafi się raz na kilkadziesiąt lat — rozmywa gliniane domy, powodując prawdziwy kataklizm dla ludności.



W taki właśnie sposób rozmyte zostało w 1925 roku historyczne miasto Chan Chan.

W czasie podróży po peruwiańskim brzegu miałem okazję odwiedzić wioskę na pustyni, której proboszczem był polski duszpasterz, od kilkudziesięciu lat przebywający na terenie Południowej Ameryki. Okazały kościół otaczały





gliniane domki ustawione wzdłuż piaszczystych uliczek. Wśród kilkudziesięciu rodzin indiańskich zamieszkujących tę osadę, siedemnaście z nich miało po dwadzieścioro dzieci! Żaden wzrost dobrobytu narodowego nie będzie w stanie nadażyć za tym przyrostem naturalnym, za tą przerażającą eksplozją demograficzną.

Zagęszczenie ludności na peruwiańskim wybrzeżu z roku na rok rośnie nie tylko z powodu przyrostu naturalnego, ale także wskutek spływu Indian z gór. Schodzą oni od Limy i innych osad nad Pacyfikiem w nadziei uzyskania łatwiejszego zarobku i poprawienia sobie bytu. Przypuszczenia te najczęściej okazują się złudne i powodują duże kłopoty dla władz peruwiańskich, które nie mogą zapewnić biednym górcom ani pracy, ani najskromniejszych bodaj mieszkań.

Mimo to — zwłaszcza po częstych w peruwiańskich górach trzęsieniach ziemi — napływ ludności na wybrzeże ciągle trwa.

Tak stało się również w 1970 roku. Wówczas to, ostatniego dnia maja o godzinie 15.25, dla miasteczka Jungay nadeszła śmierć. Potężne trzęsienie ziemi spowodowało obsunięcie się części północnego zbocza Huascaranu. Gigantyczna lawina skalna runęła w dół. Potworny szum i loskot. Potem nastąpiła cisza, która trwa do dnia dzisiejszego. W ciągu kilkunastu sekund pracowite miasteczko indiańskie przestało istnieć, zostało tylko na mapach. To jedno trzęsienie ziemi zabiło łącznie 50 tysięcy ludzi, zraniło ponad 140 tysięcy, a prawie półmilionową rzeszę pozbawiło i tak wąskiego dachu nad głową. Tak wygląda bilans najtragiczniejszej w dziejach katastrofy, która wstrząsnęła światem.

Od tego wydarzenia minęły już cztery lata, a ocaleni jeszcze nie oplakali swoich zmarłych. Strach przed „trzesącymi się górami” wypędza ich mieszkańców na płaskowyż i wybrzeże, do Chimbote. Ale i ten port jest zniszczony. Sześćdziesiąt procent budynków przestało istnieć. Co począć z tymi ludźmi? Młoda rewolucja peruwiańska ma wiele ogromnych i trudnych zadań do rozwiązania.



Świat Trzeci:

W GÓRSKIEJ SCENERII

Tuż za wąskim pasem wybrzeża wyrasta w Peru ogromny masyw Andów wspinający się stromo w górę, aby ostatecznie wypiętrzyć się w najwyższy szczyt peruwiańskich gór, którym jest Huscaran, sięgający swym wierzchołkiem zawrotnej wysokości 6768 metrów.

Ta potężna bariera górska tworzy jednocześnie barierę klimatyczną pomiędzy suchym wybrzeżem a wilgotnym wschodem kraju. Geografowie dzielą peruwiańskie Andy na Kordyliery Zachodnią (13 szczytów ponad 6 000 metrów) — z której biorą początek największe rzeki Peru, m.in. Ukajali i Marañon — i Kordyliery Wschodnią, gdzie znajdują się liczne wulkany. Najgroźniejszy z nich Misti (5 852 m.) niszczył już wielokrotnie miasto Arequipa, główny ośrodek miejski południowego Peru.

Od niepamiętnych czasów w górach peruwiańskich, a raczej na płaskowyżach między Kordyliery Wschodnią i Zachodnią, a także w większych kotlinach górskich, gdzie grunt nadaje się pod uprawy rolne lub do hodowli — żyli Indianie. Taki stan rzeczy utrzymuje się do dziś, i w rejonach tych zamieszkuje ponad połowa ludności współczesnego Peru.

Rzecz jasna, w Andach znajdują się również olbrzymie bogactwa mineralne. Niektóre wykorzystywane jeszcze przez Inków, niektóre wydobywane dziś, a jeszcze inne — czekające dopiero na odkrycie. W chwili obecnej głównymi ośrodkami przemysłowymi są: Cerro de Pasco i La Oroya, położone na wschód od Limy. Dominuje tam przemysł wydobywczy i hutnictwo metali kolorowych. Sto lat temu potrzeby tego właśnie przemysłu spowodowały rozpoczęcie budowy słynnej linii kolejowej, która wciąż jeszcze uchodzi za wielkie osiągnięcie techniki. Z dumą możemy powiedzieć, że głównym twórcą i wykonawcą niesłychanie śmiałego na ówczesne czasy projektu kolei żelaznej w tej części świata był Polak, Ernest Malinowski. O trudnościach całego przedsięwzięcia niech świadczy fakt, że na przestrze-

ni zaledwie 171 kilometrów linia ta wspina się od poziomu morza (stacja Callao) na wysokość 4 781 metrów! (stacja Galera). Budowę linii, która pochłonęła 30 mln dolarów i 10 tysięcy istnień ludzkich ukończono w 1890 roku. Linia przebiega przez 58 mostów i 66 tuneli.

Przebiega również przez linię śmierci, przecinając strefę, gdzie śmiertelne niebezpieczeństwo niesie mrok.

Na trasie kolei Malinowskiego jeden z licznych mostów nosi nazwę puente de verruga, przy czym verruga oznacza nazwę choroby, o istnieniu której już w roku 1630 doniósł jeden z hiszpańskich lekarzy. Przez wiele setek lat krążyły wśród Indian ponure opowieści o kilku wąskich dolinach, gdzie śmierć czaiła się wyłącznie nocą. W świetle dnia bowiem strefa śmierci była całkiem bezpieczna. Wystarczyło jednak zanoć w jednej z niebezpiecznych dolin, by ulec ciężkim schorzeniom.

Objawy verrugi, zwanej również chorobą Carriona*, były zawsze jednakowe. Każdy kto spędził noc w jednej z dolin, w kilka dni później tracił gwałtownie czerwone ciała we krwi i zapadał na ciężką anemię, kończącą się najczęściej śmiercią. Do dzisiaj nie wiadomo zresztą, czy verruga niszczy istniejące czerwone ciała, czy hamuje powstawanie ich w szpiku kostnym. Jeśli chory po przebyciu stanu anemii wyżył, zaczynało się drugie stadium choroby.

* Jest to nazwisko peruwiańskiego studenta medycyny, który sam zaszczepił sobie tę chorobę w r. 1885 i wkrótce potem zmarł. Carrion eksperymentował ze względów patriotycznych, pragnął bowiem przywrócić dobrą sławę medycynie peruwiańskiej, która w owych czasach pozostawała w tyle za chilijską. Poświęcono mu specjalny znaczek.



BUNDESPOSTDRUCKEREI BERLIN



Ciało nieszczęśnika pokrywało się niewielkimi guzami, które po umieszczeniu się w jelitach, również powodowały zgon. Chory, który przeszedł obie fazy choroby był już uodporniony na verrugę na całe życie.

Dopiero kilkanaście lat temu wyjaśniono przyczyny tej choroby, jakkolwiek też nie ze wszystkimi szczegółami.

Dziś już wiadomo jednak, że źródłem zakażenia verrugą są ukąszenia mustyków — owadów mniejszych od komara. Nie znoszą one słonecznego blasku i w ciągu dnia siedzą w ukryciu. Pojawiają się natomiast w niezliczonych ilościach po zapadnięciu zmroku. W czasie trwania budowy kolei spowodowały one tysiące zgonów wśród robotników. Ocenia się również, że w ciągu dziesięciolecia poprzedzającego ostatnią wojnę, wskutek ukąszenia mustyków zmarło w Peru ponad 7 000 osób. Na szczęście występowanie tych groźnych owadów jest ściśle ograniczone.

Wsiadając do wagonu Ferrocarril del Peru, czyli kolei wybudowanej przez Malinowskiego, nie musiałem obawiać się mustyków, ponieważ był to wczesny ranek, a do La Oroya miałem dotrzeć w niespełna osiem godzin, a więc za dnia. Mój przedział kolejowy nie różnił się wiele od przedziałów innych wagonów kolejowych na świecie. Ruszyliśmy. Podróż niosła ze sobą oszałamiające widoki. W miarę zyskiwania wysokości, otwierały się tuż przy oknach potworne przepaście, przesuwały się zapierając dech skalne masywy, nierzadko zwieńczone w górze śniegową czapą. Żadne pióro nie odda zresztą w pełni wrażeń, jakie odbiera podróżny w tej górskiej scenerii.

Obok niepowtarzalnych widoków, dodatkową



atrakcją takiej podróży jest tlen, podawany, co bardziej wrażliwym pasażerom przez specjalnego funkcjonariusza peruwiańskiej kolei. Na wysokości bowiem prawie pięciu tysięcy metrów rozrzedzone powietrze mocno daje się we znaki mieszkańcom nizin. Nie ma mowy o szybkim poruszaniu się czy dźwiganiu ciężarów.



żarów. Stali mieszkańcy Andów, przystosowani do życia na dużych wysokościach, mają od pokoleń, jak stwierdzili lekarze, większą pojemność klatki piersiowej.

Linii kolejowych w Peru jest niewiele, bo tylko 2 550 kilometrów. Dla porównania: w Polsce — kraju trzykrotnie mniejszym terytorialnie — linie kolejowe są dziesięciokrotnie dłuższe. Z drogami bitymi jest podobnie. Mamy ich w Polsce dwukrotnie więcej. Oczywiście Peru jest krajem, jak powiedzieliśmy poprzednio, bardzo trudnym komunikacyjnie



z uwagi na ukształtowanie terenu, a wiekowe zaniedbania zrobiły swoje. Obecny rząd stara się nadrobić najistotniejsze dla rozwoju państwa opóźnienia komunikacyjne, a pomocny jest mu w tym współczesny transport lotniczy.

O peruwiańskich drogach można napisać wiele, poczynając od tych inkaskich, z których korzystały „Dzieci Słońca”. Są to jednak zamierzchłe czasy i lepiej skoncentrować się na drogach dzisiejszych Peru, które w wielu

fragmentach są wciąż... znacznie gorsze niż te, których używali w Tawantinsuyu wytrwali kurierzy-biegacze. Na peruwiańskich arteriach komunikacyjnych, jeśli wypada je tak szumnie nazywać, spotkać można „Serce Jezusa”, „Awanturnika”, „Przyjaciela Śmierci”, „Szczęśliwego Kota”, „Juliusza Cezara”, „Świętego Józefa” oraz wiele innych pstrokato zdobionych ciężarówek, noszących przedziwne nazwy, jakie wymyślili ich kierowcy.

Wszystkie te pojazdy, nie wykluczając autobusów wyładowanych do granic pojemności, pędzą po stromych kamienistych traktach z dużą szybkością, tłukąc bez litości pasażerami przy gwałtownych zakrętach. Potworne wstrząsy szatańskiego wehikułu, mknącego o przysłowiowy włos od ziejących zewsząd przepaści, niejednemu ateście mogłyby pomóc zapewne w zmianie światopoglądu. Żaden europejski autobus nie wytrzymałby takiej jazdy, rozpadłby się na drobne kawałeczki. O klasie peruwiańskich kierowców świadczy dobitnie fakt, że mniej więcej tylko raz na miesiąc ukazuje się w prasie notatka o zwaleniu się autobusu w przepaść.

W Tawantinsuyu nieustannie budowano drogi państwowe, konstruowano przemyślne, wiszące mosty. W pobliżu tych szlaków umieszczano składy żywności, zajazdy dla podróżujących dygnitarzy. Gońcy przebiegali kraj wzdłuż i wszerz ze znaczną szybkością. Przekazanie rozkazu czy jakiegoś przedmiotu z Cuzco do Quito na 1600 kilometrowej trasie trwało tylko osiem dni. Dzisiaj tę drogę najlepiej przebyć samolotem.

Gdy Europa odkryła Amerykę, państwo Inków przewyższało obszarem dzisiejsze Peru.

Było to wielkie imperium, którego władca na objazd swoich posiadłości zużyć musiał trzy lata. Podstawową troską rządzących był ogólny dobrobyt ludów wchodzących w skład państwa, nawet tych podbitych. O państwie Inków mamy dzisiaj stosunkowo dużo wiadomości, dzięki temu między innymi, że wielu Inków wyższych sfer przez jakiś czas zachowało swoje stanowiska i pożeniło swe córki z Hiszpanami. W takich rodzinach przechowało się wiele informacji z minionych lat. I tak na przykład, Garcilaso de la Vega el Inka, jeden z najwybitniejszych poetów i kronikarzy, syn Hiszpana i inkaskiej księżniczki, napisał słynny utwór „Los Comentarios reales”, stanowiący fundamentalne dzieło literatury peruwiańskiej i wiedzy o Inkach. Istnieje na ten temat również szereg relacji księży i uczonych hiszpańskich. Dzięki nim znane są też inkaskie



legendy dotyczące pochodzenia tego ludu. Są one związane ściśle z jeziorem Titicaca. Tam właśnie na jednej z wysp Słońce miało stworzyć człowieka i jego rodzinę, a następnie wysłać ich do żyznej doliny Cuzco, gdzie powstało następnie miasto służące za wspaniałą stolicę ludu posługującego się językiem kiczua.

Inkowie rządili despotycznie. Na czele państwa stał dziedziczny władca Inka, potomek Słońca. Był on źródłem wszelkich praw, otoczony aureolą boskości stał na szczycie piramidy podległych mu wicekrólów, gubernatorów. U podstaw tej piramidy tkwili naczelnicy w wioskach, z których każdy był przełożonym dziesięciu rodzin. Od nich też zależał bezpośredni wymiar sprawiedliwości, który działał nader szybko. Kradzież, lenistwo, cudzołóstwo, morderstwo, obraza Inki — karane były śmiercią.

W państwie „Dzieci Słońca” pracowali wszyscy oprócz warstwy rządzącej, na zasadzie równego podziału wysiłku. Młodzi ludzie poniżej dwudziestu pięciu lat i starzy powyżej pięćdziesięciu — otrzymywali lżejsze zadania, ale skoro było się np. złotnikiem — zostawało się nim do śmierci, bez prawa zmiany zawodu.

Ziemia była wydajna, a Inkowie zaliczali się do najlepszych rolników przedkolumbijskiej Ameryki. Wycinali oni w stokach gór tarasy (istniejące zresztą do dziś), użyźniali grunty guanem sprowadzanym z wybrzeża. Potrafili budować akwedukty, mosty i systemy nawadniające. Uprawiali ziemniaki i kukurydzę, maniok, pomidory, fasolę i dynię. Hodowali również wielkie stada lam i alpak. Stanowiły one wyłączną własność Inków lub kapłanów. Wśród klas pracujących nawet małżeństwa regulowane były przez państwo. W większych jednostkach



administracyjnych wszystkich chłopców i dziewczęta w odpowiednim wieku żeniono jednocześnie, urządzając jedną huczną zabawę. Wypracowane wspólnie produkty rolne i rzemieślnicze szły do składów publicznych, skąd wydzielano je poszczególnym rodzinom zgodnie z potrzebami.





Centrum Imperium Inków stanowiło święte miasto Cuzco. Położone na wysokości prawie trzech i pół kilometra w słonecznej dolinie, wśród bezdrzewnych gór, zaimponowało nawet Hiszpanom, którym wydało się „tak piękne, że byłoby godne Hiszpanii”. Zachwyty europejskich zdobywców nad cudami architektury



staroperuwiańskiej trwały zresztą krótko. Niemal natychmiast oślepił ich blask złota, którym pokryte były niektóre budowle Inków, a zwłaszcza Świątynia Słońca. Biali barbarzyńcy zrywali z niej złote blachy, rabowali dzieła złotników, a wśród nich szczerozłotą tarczę słoneczną — największą świętość Inków — umieszczoną w sanktuarium, do którego dostęp mieli tylko najwyżsi dostojnicy Tawantinsuyu. Rabunek złota nie przeszkadzał oczywiście rabunkowi srebra. Wielka podobizna księżyca, wykonana z tego kruszcu, podzieliła los słonecznego dysku. Dla Hiszpanów bowiem liczył się przede wszystkim „pot słońca” i „łzy księżyca”. Tak właśnie poetycznie nazywali Inkowie oba szlachetne metale.

Świetność Hiszpanii dawno już przeminęła, a okaleczone mury, z których wrywano święte symbole „Dzieci Słońca”, trwają. Tak się bowiem złożyło, że kościół Santo Domingo, wybudowany na fundamentach „Świątyni Słońca”, niejedną już raz zwałił się wskutek trzęsienia ziemi, a mury wzniesione rękami pracujących Inków nie zmieniły się ani na jotę. Ogromne głazy bez spoiwa nie rozsunęły się przez wieki nawet o milimetr, a charakterystyczne okna budowli inkaskich, w kształcie trapezu, zachowują ten sam obrys, jaki nadano im w chwili budowy.

Współczesne Cuzco z nowoczesnym lotniskiem dla odrzutowców, z pomnikami hiszpańskiej architektury — jest w zasadzie miastem, jakich wiele w całej Ameryce Południowej, i budzi mniejsze wzruszenia niż jedna ciasna uliczka dawnej stolicy, nakreślona murami sprzed wieków. Kiedy rankiem przemknie tamtędy Indianka z górskiej wioski, ubrana w sa-



modziałowe ponczo, identyczne z tym, jakie nosiła jej praprababka za czasów Imperium, wydaje się, że w Andach — zatrzymał się czas. I właśnie w takim stwierdzeniu nie ma przesady.

Indianom w okolicach Cuzco dopiero w ostatnich latach zaczyna świtać nadzieja na poprawę losu. Po wprowadzonej przez Velasco reformie rolnej zaczęli oni pracować na swojej ziemi, dla siebie. Jeszcze używają wprawdzie tych swoich prymitywnych narzędzi, co przed wiekami, jeszcze nie są w stanie wygospodarować wiele więcej, niż sami zużywają, ale słońce w Andach świeci już dla nich jaśniej.

Wycieczka w okolice Cuzco pozwala stwierdzić, że gospodarka rolna od czasów Inków raczej pogorszyła się pod rządami hiszpańskimi i za czasów republiki, niż poprawiła się. Większość ze starych tarasów, ułożonych schodkowo i znakomicie kiedyś nawadnianych, jest dziś zaniedbana, porośła spaloną trawą. Żyzny rejon Pisac czy inne kąpiące się w słońcu doliny z pewnością nie są dziś tak dobrze wykorzystywane, jak w czasach, gdy szczerozłote słońce w Cuzco jaśniało pełnym blaskiem. Być może, że niedługo tarasy te znowu pokryją się młodymi pędami kukurydzy, jęczmienia czy ziemniaków. Chwilowo jednak liście koki ciągle pomagają indiańskim matkom oszukiwać głodne dzieci.

W oszalamiającej scenerii gór natomiast z ogromną siłą jawią się przygodnemu przybyszowi talenty inżynierskie starych mieszkańców tej ziemi. Potężne resztki murów twierdzy Sacsahuaman czy Ollantaytambo budzą podziw, tym większy, że sposób ich budowy trudno jest wytłumaczyć, nawet przy dzisiejszym stanie wiedzy technicznej. Inkowie i ich przodkowie przecież nie znali koła, nie mogli

więc używać nawet wielokrążka pomnażającego ludzkie siły. Tymczasem zaś przybysz ogląda w świętej dolinie starannie ułożone jeden na drugim głazy o wadze przekraczającej 300 ton!... Głazy te są wspaniale obrobione, idealnie pasują jeden do drugiego. A przecież musiały być one jakoś z kamieniołomów wyłamane i przetransportowane. Płaszczyzny spasowanych ze sobą skał stanowią jedną z większych zagadek, którą w otchłań historii zabrali ze sobą Inkowie. Jakimi narzędziami zostały one obrobione, skoro nawet żyletka nie zmieści się między skalne bloki? Istnieje na ten temat wiele hipotez. Jedna z nich zakłada, że Inkowie posiadali tajemniczą substancję roślinną rozpuszczającą głazy i pozwalającą nadawać im pożądane kształty. Jak było w rzeczywistości, pewnie nigdy się już nie dowiemy.

Do największych bogactw mieszkańców gór, zarówno dziś jak i przed wiekami, należą lamy, a właściwie cała rodzina tych bliskich krewniaków wielbłądów, to jest lamy, alpaki, guanako i wigonie. Lamy i alpaki ludzie z gór oswoili bardzo wcześnie. Zwierzęta te dostarczały im nie tylko mięsa, wełny i opału (wysuszony nawóz), lecz także służyły jako zwierzęta juczne. Guanako i wigonie występowały (i występują na wielu obszarach do dziś) w stanie dzikim. Za czasów Inków wigonie, małe zwierzęta wielkości kozy, dla zwykłych Indian stanowiły tabu. Ich delikatna wełna była przeznaczona wyłącznie dla arystokracji Inków i wyrabiano z niej przepiękną odzież. Do dzisiaj bajecznie lekkie tkaniny z wełny wigonii osiągały w Peru cenę rynkową około 100 dolarów za metr.

Hiszpanie, którzy pierwszy raz zetknęli się

z lamą w Peru, poświęcili wiele zapisków temu zwierzęciu. Jeden z nich, Augustin de Zarate, tak skarży się na lamę w roku 1544: „Ta peruwiańska owca jest bardzo wytrzymała, może biegać w razie potrzeby szybko, ale tego nie lubi. Kiedy jedzie się na niej wierzchem, a ona jest zmęczona lub kiedy ponagła się ją do biegu — zwierzę odwraca głowę do tyłu i pluje w twarz jeźdźcowi bardzo śmierdzącą śliną”. Dziś opinia o złośliwości lamy nie uległa zmianie. Wiadomo też dokładnie, że lama godzi się nosić wyłącznie ładunek o wadze nie przekraczającej trzydziestu kilogramów. Jeśli bagaż jest choć trochę cięższy, zwierzę to kładzie się i żadna siła nie potrafi zmusić je do marszu.

Przed przybyciem Hiszpanów do Peru wełna z lam, alpaki i guanako stanowiła dla górali jedyny surowiec na odzienie i koce. W owych czasach Inkowie potrafili z tej samej wełny sporządzać potężne liny, utrzymujące nad przepaściami wiszące mosty, w których budowie celowali. Zgodnie z ówczesnymi wierzeniami, uryna lamy odpędzała podobno złe duchy, a także dokuczliwe insekty. W zapadłych zakątkach Andów, w odciętych od świata wioskach dziś jeszcze troskliwe matki myją, z tych samych względów co przed setkami lat, swoje dzieci w urynie lam.

Arystokracja Inków władała niepodzielnie dystrybucją liści koka, rośliny zawierającej kokainę, a dziś stanowiącej surowiec do produkcji coca-coli. Zdaniem historyków, zwykli Indianie, o wyżywienie których troszczyli się ich władcy, prawie nie mieli dostępu do tej świętej rośliny. Prawdopodobnie garść liści koka otrzymywali tylko chasquis udający się w drogę. Pozwalała ona, będąc narkotykiem,



COLUMBIAN BANK NOTE COMPANY

neutralizować głód, zmęczenie i chłód. W czasach późniejszych, z obecnymi włącznie, spożycie tej rośliny w górach znacznie się niestety zwiększyło. Po prostu więcej ludzi musi dziś oszukiwać głód niż dawniej, pod sprężystymi rządami władców Tawantinsuyu.

Inkowie byli nader przewidujący. Nie wiedzieli przecież, bo wiedzieć nie mogli, o inwazji Hiszpanów, a mimo to wybudowali doskonale ukryte w górskiej dżungli wielkie miasto: słynne Machu Picchu — Zaginione Miasto, o istnieniu którego nie słyszał świat przez długie cztery wieki. Być może, było to właśnie miejsce, dokąd udałby się Atahualpa, gdyby zdołał się wykupić z rąk Pizzara. Zaginione, ale i zagadkowe miasto strzeże właściwie swojej tajemnicy do dziś. Ocenia się bowiem, że w tym całkowicie samowystarczalnym grodzie Inkowie żyli przez osiemdziesiąt lat jeszcze wówczas, kiedy Hiszpanie opanowali już całą niemal Południową Amerykę. Potem jednak miasto umarło i nikt nie wie dlaczego. Przywrócił je światu dopiero przed sześćdziesięciu laty amerykański profesor uniwersytetu Yale — Hiram Bingham. W ciągu następnych kilku lat archeolodzy wydarli je dżungli, co nie zmieniło faktu, że przywrócono je światu jako martwe miasto.

Tajemnicze Machu Picchu najeżdżane jest obecnie jako jedna z największych turystycznych atrakcji świata przez tłumy turystów.

W Machu Picchu, podobnie jak i w Cuzco, znowu przychodzi przybyszowi podziwiać talenty inżynierskie dawno zmarłych ludzi. Ich wiedzę, sztukę i pracowitość. Ich niewątpliwą znajomość astronomii, medycyny — jednym słowem wszystko, co tak zdumiewa u ludzi,

którzy nie znali koła i nie pozostawili po sobie pisanego słowa.

Oddzielnym zupełnie zagadnieniem jest samo położenie Zaginionego Miasta. Kamienna tajemnica Inków spowita jest bowiem w takie uroki przyrody, że doznania estetyczne przewyższają zachwyty nad dziełem dawnych architektów. Machu Picchu leży w ostrym zakolu rzeki Urubamba. Zbudowane na urwisku spadającym ostro do rzeki (700 metrów pionowej ściany) dostępne jest tylko z jednego kierunku. Nie trzeba dodawać, że właśnie od tej strony strzegły miasta oddziały wartowników. Ludzie ci oglądali na co dzień widoki, jakich daremnie przyszłoby szukać w innych częściach świata. Daleko w dole srebrzy się, wąska z tej wysokości, rzeka, a wokół strzelają w niebo wierzchołki gór pokryte odwieczną dżunglą. Strzępy chmur i mgieł rozpostarte na tych szczytach, podświetlone promieniami słonecznymi, dają niezapomniane obrazy, zmieniające się kilkakrotnie w ciągu każdej godziny.

Bajeczne wschody słońca w rejonie Machu Picchu pozwalają w pełni zrozumieć Inków jako czcicieli słońca. Pomysłowość natury jest bowiem niedościgniona. Przy niej nawet ruiny Zaginionego Miasta bledną, jakkolwiek nie przestają zdumiewać.

Po rozległym terenie — rozłożonym tarasowo, a połączonym niezliczonymi schodami — każdego dnia krążą turyści oglądający, z przewodnikami w rękach, Świątynię Trzech Okien, budynki przeznaczone dla Dziewic Słońca, Święty Plac oraz szereg innych obiektów, które w uczonych rozprawach zidentyfikowali znawcy kultury Inków. Dla mnie jednak najbardziej zdumiewające okazały się uprawne tarasy u-

mieszczące na szczycie góry (Huayna Picchu) patronującej miastu. Wspinaczka do tych uprawnych mini-poletek leżących wysoko nad poziomem miasta — zabiera około stu minut. Wytarte skały górskiej ścieżki świadczą o całych pokoleniach pracowitych Indian przemierzających przez wieki tę drogę, aby zapewnić wyżywienie, zarówno mądrym władcom jak i zwykłym wojownikom. Ojczyzna została wydziedziczona przez Inków za ich wytrwałość. Machu Picchu wprawdzie umarło, ale nigdy nie wpadło w ręce hiszpańskich zdobywców.

Turystyczny szlak europejskich przybyszów w Peru z Cuzco i Machu Picchu wiedzie nieuchronnie nad jezioro Titicaca. W przewodnikach to najwyżej na świecie położone jezioro żeglowne polecane jest do obejrzenia z wielką gorliwością. Jest ono właściwie małym śródgórskim morzem, o powierzchni 6 900 kilometrów kwadratowych i głębokości przekraczającej 270 metrów, położonym niemal półtora kilometra wyżej niż Rysy — najwyższy punkt naszych Tatr.

A ponieważ na jeziorze występują czasem sztormy, Titicaca jest prawdopodobnie jedynym miejscem na ziemi, gdzie można chorować na górską i morską chorobę jednocześnie.

Titicaca ma ciekawą własną faunę w głębi wód oraz jedynych w swoim rodzaju mieszkańców na powierzchni. Są nimi Urusowie — indiańskie plemię liczące dziś niespełna 600 osób, które mieszka w całym tego słowa znaczeniu na wodzie. Żyją oni bowiem na wątych tratwach pobudowanych z sitowia. Te pływające wyspy są oczywiście nader nietrwale i wymagają co kilka tygodni położenia na nich nowych warstw sitowia. Urusowie od wieków dokłada-

ją sitowia, rodzą się, umierają, nie chcą jednak przenieść się na stały ląd. Podstawą ich bytu jest rybołówstwo i polowanie na kaczki, a także niewielka pomoc ze strony państwa. Urusowie wytworzyli własny folklor i zwyczaje, do których należy między innymi nieuznawanie rozwodów i grzebanie zmarłych na łądzie stałym.

Ci prymitywni ludzie żyją po swojemu, pływają łódeczką z sitowia i nie przejmują się, że tuż obok nich, na wodach jeziora, toczy się współczesne życie ekonomiczne, że taflę świętego jeziora Inków przecinają nawet... wodoloty.

Titicaca bowiem stanowi, zwłaszcza dla Boliwii odciętej od oceanu, „drogę życia”. Tędy po wodach jeziora płyną statkami, a potem koleją boliwijska cyna na wybrzeże Oceanu Spokojnego.

Pierwszy prawdziwy w naszym rozumieniu statek — jeśli pominiemy trzcinowe łódki Urusów — pojawił się na wodach Titicaca w roku 1862. Był to parowiec „Yavari” zbudowany w Anglii. Łatwiej go było jednak wybudować w stoczni, niż dostarczyć na wysokość prawie 4 000 metrów. Pięćsettonowy „Yavari” został więc rozebrany na części, przewieziony przez pół świata z Anglii do portu w Arica i po krótkiej kolejowej podróży załadowany na... grzbiec mułów. O trudnościach takiego transportu może świadczyć fakt, że trwał on aż siedem lat. Dopiero nad brzegiem jeziora można było przystąpić do montażu całości. Ostatecznie pierwszy obłoczek dymu na jeziorze Titicaca ukazał się dopiero w 1871 roku. Najzabawniejsze, że „Yavari” — pionier, a jednocześnie weteran andyjskiego jeziora, pływa tam do dziś. Obecnie ma on oczywiście liczne towarzystwo w pos-

taci choćby wybudowanego w stoczni kanadyjskiej promu kolejowego „Manco Capac” i wspomnianego już wodolotu „Strzała Inków”. W sumie, współczesna flota na jeziorze Titicaca może przewozić już rocznie prawie 200 tysięcy ton ładunków i przeszło 6 000 osób. Nad tą armadą czuwa „flota wojenna”, która wprawdzie dysponuje zaledwie motorówkami, ale ma „za to” na czele prawdziwego boliwijskiego kontradmirała.

Świat Czwarty:

DZIWIY ZIELONEGO KONTYNENTU

Na wschód od Andów rozciąga się nieprzebyta dżungla, stanowiąca jednocześnie kraniec cywilizowanego świata. W przypadku Peru jej kręgosłup tworzy potężna rzeka Ukajali, tocząca swe wody mniej więcej równoległe do bariery Andów, oraz jeszcze potężniejsza Amazonka biegnąca do tych gór prostopadle.



Dżungla jest jedna, ma jednak różne oblicza. Nie uznaje fikcyjnych linii wykreślonych na mapie, a oddzielających poszczególne państwa. Pokrywa zieloną pleśnią olbrzymie połacie kontynentu południowoamerykańskiego oraz wiele tajemnic od wieków intrygujących ludzkość.

Tropikalny las zajmuje przeszło trzy piąte terytorium Peru. Na całym tym obszarze żyje zaledwie około miliona ludzi, głównie Indian, dzielących się na trzydzieści kilka szczepów*. Liczba ta jest, rzecz jasna, tylko liczbą szacunkową, ponieważ nikt jeszcze nie dokonał spisu



powszechnego tej ludności, żyjącej w wielu przypadkach dokładnie tak samo jak w epoce kamiennej. Wielu z tych prymitywnych ludzi zetknęło się z cywilizacją tylko pośrednio, przez poszukiwaczy naturalnego kauczuku czy misjonarzy wszelkich wyznań. Nie sięgnęła do nich nigdy ani administracja Inków, ani Hiszpanów, a stwierdzić trzeba również, że obecny aparat

* Łącznie w Peru mieszka około 14 mln ludzi.

państwowy nie dociera do wszystkich ludzkich grup zaginionych w tym bezkresnym obszarze.

Bo dżungla to świat przedziwny, budzi zachwyty i grozę; świat okrutny dla człowieka i wszystkich mieszkańców „zielonego piekła”. Dżungla mieści w sobie tysiące odmian przepięknych orchidei, ale i jadowite węże. Rzeki obfitują w ryby stanowiące dobrodziejstwo dla słabej ludzkiej istoty, ale dostępu do nich bronią żarłoczne piranie i aligatory. Kolibry, tukan, barwne papugi cieszą oko, ale chmary insektów, owadów czynią życie dżungli koszmarnie. Prymitywni mieszkańcy tropikalnego lasu, mądrzy doświadczeniem pokoleń, potrafią się w nim wyżywić, a nawet wyszukać w nim lekarstwa na rany, reumatyzm czy zmęczenie.

Obcych przybyszów dżungla od wieków fascynuje. Całe pokolenia białych łowców przygód, badaczy, naukowców poświęcały swe życie, aby wydrzeć temu tajemniczemu światu jego tajniki. Europejczycy odkrywcy Nowy Świat — gdzie dziwne zwierzęta, rośliny przekraczały swymi wymiarami, właściwościami wszystko to, co mogli sobie wyobrazić — puszczali wodze fantazji. Byłoby nawet dziwne, gdyby zetknięcie z tym całkowicie obcym światem nie spowodowało powstania fantastycznych baśni, powieści, legend.

Jednym z podstawowych takich mitów była wiara w Złoczonego Króla, czyli El Dorado. Ten mit zakwitł z wielką siłą na terenie pełnej dziwów Ameryki. Hiszpańscy zdobywcy żyli stale w gorączce, gorączce złota, oczywiście. Zdobyte skarby Inków stały się rzekomym dowodem, że jeszcze większe bogactwa istnieją ukryte gdzieś w głębi nieznannej, skłębionej dżungli. W miarę rozwijania się wypraw od-





krywczych, w miarę poznawania terenu, zwłaszcza po wyczynie Orellany (o którym będzie jeszcze mowa), wyśnione El Dorado spychane było coraz dalej w głąb nie zbadanych jeszcze regionów, do dżungli. Przecież gdzieś w końcu — myśleli biali przybysze — musi istnieć ów indiański władca, który zmywa z siebie w wodach legendarnego jeziora Parime pokrywający go codziennie od nowa złoty pył. Trzeba dotrzeć wreszcie do Manoa, wyśnionej stolicy El Dorado, leżącej u stóp góry, lśniącej od złotego kruszcu, gdzie ulice brukowane są złotem i diamentami. El Dorado stało się więc chimera, która do dziś jeszcze ma niemało wyznawców.

Jednym z pierwszych żalonych donkiszotów El Dorado zostaje zasłużony konkwistador hiszpański Gonzalo Jimenez de Quesada. Ten siedemdziesięcioletni starzec prowadzi na wschód do dżungli olbrzymią wyprawę, złożoną z Hiszpanów, Indian i Murzynów. Rezultat tej prawdziwej golgoty mógł być tylko jeden. Głód, choroby, mordercze strzały i maczugi Indian. Quesada przeżył swoje szaleństwo. Jest bardzo stary, zrujnowany, owrzodzona skóra opada z niego płatami, ledwie ma siłę, aby przekazać krewnym swój jedyny spadek — marzenie o El Dorado.

Kapitan Antonio de Berrio przejmuje fatalne dziedzictwo. Stara się na dworze kastylijskim o nominację na gubernatora nie istniejącego królestwa. Organizuje wielką wyprawę. Dwa tysiące ludzi siada na jego statki w Hiszpanii, aby unurzać ręce po łokcie w złocie i diamentach, pokrywających ulice Manoa. Historia się oczywiście powtarza. Nie ma El Dorado. Jest głód, straszliwa dżungla, robactwo pożera ludzi żywcem, bagna, zaraza, okrucieństwa Indian.



Mimo to legenda El Dorado utrwała się w Europie i znajduje następców. Hiszpanie, Anglicy, Francuzi.

Pod koniec XVI wieku powstaje nawet wielkie dzieło pt. „Odkrycia bogatego, pięknego i niezmiernego Imperium Gujany, wraz z opisem złotego miasta Manoa, które Hiszpanie zwą El Dorado, opisane przez rycerza sir Waltera Raleigha, kapitana Gwardii Królewskiej”. Dzieło to, tłumaczone na wiele języków europejskich, opisywało więc drobiazgowo rzeczy nie istniejące.

W dwadzieścia lat po ukazaniu się jego książki sir Walter Raleigh — dworzanin królewski, mąż uczonej, założyciel pierwszej angielskiej kolonii na lądzie Ameryki Północnej, a więc poważny na ówczesne czasy podróżnik — raz jeszcze rusza w dżunglę do Manoa. Nie pomogły mu w tym wskazówki zawarte w jego własnej książce. Zrozumiały dla nas dziś brak sukcesów wyprawy oraz względy polityczne —



bezpośrednio po powrocie do kraju prowadzą Raleigha pod katowski topór. Chimera El Dorado ma świeżą porcję krwi.

Minęły wieki. Przyrodnicy zdołali już napisać wiele uczonych rozpraw o faunie i florze wielkiej dżungli południowoamerykańskiej, sporządzono dokładne mapy i profile kontynentu, ale ciągle znajdują się ludzie, którzy wierzą w zaginione miasta ukryte w niedostępnej dżungli.

W roku 1970 ruszyła nad Amazonkę trzyosobowa francuska wyprawa. Jej celem nie było wprawdzie odnalezienie miasta Manoa, ale jej uczestnicy pragnęli dostać się do równie legendarnego miasta Inków — Paititi. Szefem wyprawy był Serge Debru, wybitny podróżnik, który jako pierwszy w świecie przeszedł pieszo w poprzek Alaskę, przepłynął samotnie całą długość Jukonu oraz w 1966 roku brał udział w trudnej ekspedycji do źródeł Amazonki.

O istnieniu miasta swoich snów Debru dowiedział się ze starej książki, znajdującej się

w archiwach paryskiej Biblioteki Narodowej. Na podstawie tej lektury doszedł do wniosku, że pewne szczepy Inków schroniły się w czasie inwazji hiszpańskiej w głąb dżungli. Tam zbudowały rzekomo miasto Paititi, wspaniale ufortyfikowane i równie dobrze ukryte. Miasto rzecz jasna, miało zawierać olbrzymie skarby. Paititi, jak więc widać, stanowi właściwie współczesną wersję legendarnego Manoa.

Debru ruszył w dżunglę, a po wycofaniu się towarzyszy i przewodników sam kontynuował wyprawę. Ślad po nim zaginął. Dwie wyprawy, które poszły mu na ratunek, odnalazły, jako jedyny ślad, który pozostawił po sobie odważny podróżnik — jego obozowisko i taśmę magnetofonową ze słowami: „Wiem, dokąd idę, i wiem, że tam jeszcze nikt nie był. Ujawnię tajemnicę mojej podróży po powrocie”.

Ogólnie przypuszcza się, że Debru zginął z rąk Indian zamieszkałych nad Amazonką, ale nie wyklucza się również, że żyje on jeszcze w niewoli u jakiegoś prymitywnego szczepu. Podobne wypadki zdarzały się już; w Limie żyje do dziś pewien człowiek, który schwytywany w dżungli przez Indian, spędził wśród nich dziesięć pełnych lat, zanim udało mu się zmylić ich czujność i powrócić do cywilizacji. Dżungla ma swoje tajemnice, znawcy zagadnienia nie wykluczają w zasadzie żadnych niespodzianek w tym rejonie świata.

W dżungli amerykańskiej istnieją natomiast osiedla, o których wiadomo, że są, ale brak o nich podstawowych informacji. Zamieszkują je od czasów II wojny światowej Niemcy, którzy nie rejestrują nawet swoich dzieci w urzędach peruwiańskich i niechętnie używają języka hiszpańskiego. Jeden z wyższych urzędników po-

licji w Limie określił nawet te osiedla jako „państwo w państwie”. Żyją one własnym życiem tajnej społeczności, chronione przez równie tajną organizację byłych członków SS, pod nazwą „Odessa”, która swoim zasięgiem obejmuje całą Południową Amerykę. Zdaniem władz peruwiańskich, działalność tej organizacji oraz trudności terenowe są przyczyną braku rozeznania, co dzieje się i kto zamieszkuje naprawdę zagubione w dżungli osiedla. Jest niemal pewne, że ciągle ukrywają się w nich zbrodniarze z ostatniej wojny. Nie pojawiają się oni nigdy w większych osiedlach, a w razie zagrożenia dżungla dostarcza im najpewniejszego schronienia.

Największe jak dotąd zasługi w poznawaniu Indian zamieszkujących peruwiański dziewiczy las ma amerykańska organizacja misjonarzy protestanckich, działająca pod nazwą Summer Institute of Linguistic. Jej główna baza w Peru mieści się na brzegu niezbyt oddalonego od Pucallpy (miasto nad Ukajali) rozlewiska — Yarinacocha. Ofiarni ci ludzie mają prosty cel działania. Docierają do nieznanych szczepów, mieszkają z nimi całymi miesiącami, uczą się miejscowego języka, a następnie tłumaczą nań Biblię i zaszczepiają zasady wiary. W swoim dziele wykorzystują wszelkie środki, jakie udostępnią im współczesność, a więc radio, samoloty, magnetofony. Obok swego głównego posłannictwa mają także wielkie osiągnięcia naukowe i cywilizacyjne. W porozumieniu z rządem peruwiańskim prowadzą między innymi szeroką akcję oświatową, uczą Indian rzemiosła, używania narzędzi i uprawy roli.

Dzięki misjonarzom z Yarinacocha znalazłem się pewnego dnia w indiańskiej wiosce, wśród

ludzi ze szczepu Kampa, mieszkających w górskiej dżungli, w dorzeczu górnej Ukajali. W wyprawie brały udział dwa samoloty oraz pastor wybierający się do byłych pogan, aby dokonać chrztu.

Nasz lot z Pucallpy, największego miasta leżącego nad Ukajali, trwał prawie dwie godziny. Z wysokości kilkuset metrów można było dostrzec wprasowane w zielony gąszcz wstęgi jakichś rzeczek, później już zaczęły się dzikie góry pokryte skłębioną zielenią. Raz po raz muskaliśmy niemal skrzydłem wierzchołki gdzie spod baldachimu drzewiastych paproci, palm, zarośli — nie widać było ani metra gruntu. Nasz lot skończył się dość raptownie.

Pilot-misjonarz ominął zrećźnie któryś z kolejnych szczytów i ostro przypikował w małą dolinkę. Przez chwilę mignął mi w oczach kawałek rzeki, kilka palmowych strzech i wąski pasek lądowiska. Zanim minął przykry ucisk w uszach spowodowany utratą wysokości, „Cesna”, twardo dobijając amortyzatorami na nierównościach gruntu, toczyła się już po ziemi, ocierając się niemal o ustawione szeregowo chaty.

Pilot nie dał nam odpocząć ani chwili. Ledwie zatrzymało się śmigło — zapędził nas do roboty. Musieliśmy zepchnąć samolot na skraj lądowiska, aby zrobić miejsce dla nadlatującego pastora.

Otoczył nas tłum podnieconych ludzi. Tyłu białych jednocześnie chyba jeszcze w tej wiosce nie było. Zewsząd połyskiwały zaciekawione oczy. Niemniej zaintrygowany byłem ja sam. Tłum bosonogich Indian Kampa, w różnym wieku, obojga płci, ubrany był jednolicie. Workowate kuszmy w brązowoczerwonym ko-

lorze przypominały barwę tutejszej ziemi. Niektóre przyczesane (pewnie na cześć pastora) czarne czupryny kontrastowały ze zrogowaciały mi, poranionymi stopami. Długie do ziemi cynamonowe wory budziły skojarzenia: ni to mnisi, ni to Rzymianie. Niektóre kobiety nosiły swoje tuniki z wdziękiem, niby Greczynki. Któryś z Indian, pewnie miejscowy kuraka, czyli wódz wioski, miał odmienną kusznię, w pionowe pasy. Obcy, intrygujący świat.

Pastor nie tracił czasu. Było już zresztą południe, a o szóstej w tych szerokościach geograficznych zaczyna się noc. Po ciemku zaś nad dżunglą się nie lata. Pastor wyraźnie się spieszył.

Znaczna część ludności wioski zebrała się w przewiewnej szopie, gdzie na początku odśpiewano nieskładnie jakiś psalm. Następnie zabrał głos pastor. Mówił po hiszpańsku, a miejscowy adwentysta — Indianin — tłumaczył przemówienie na język Kampoo. Patrzyłem na pozbawione wyrazu twarze Indian i zastanawiałem się, jak dalece przejęci są obrządkiem, który miał nastąpić. Z poprzednich moich spotkań z prymitywnymi ludami wiedziałem, że obyczaj i postępowanie są często bardziej moralne niż tych, którzy przychodzą głosić nową wiarę. Z zamyślenia wyrwał mnie jeszcze jeden psalm odśpiewany na zakończenie zebrania.

Teraz pastor poprowadził, w asyście całej wsi, grupkę kilkunastu osób na wysoki brzeg rzeki. Potem, tak jak stał, w spodniach i w sportowej koszuli, wszedł w mętłą, mulistą wodę po piersi, a miejscowy adwentysta skierował do niego brodatego draba. Pastor, drobny, jasnowłosy, stał w rzece niby Jan Chrzciciel.

Podał swe przedramię ochrzczoneму, aby ułatwić mu utrzymanie się w bystrym prądzie rzeki, a następnie wymówił krótką formułę i zanurzył neofitę, z głową, w mętnej wodzie. Sytuacja powtórzyła się kilkanaście razy, a poddane zostały temu niecodziennemu obrządkowi, między innymi, dwie kobiety w ciąży, jeden starzec i kilkoro dzieci obojga płci. Cały obrządek trwał zaledwie pół godziny, a ochrzczeni obnosili swe mokre kuszmy z odświeżonym wyrazem twarzy. Ceremonia skończyła się rozdaniem garści okolicznościowych podarków.

Po odlocie misjonarzy życie we wsi wracało do normy. Zniknęły gdzieś śmieszne przyglądzone czupryny, a wszystkie dzieciaki świeciły teraz gołymi pośladkami.

Indianie byli przyjaźni. Z godnością przyjmowali drobne podarki, ale zarówno starsi, jak i dzieci wyznawali zasadę całkowitej równości. Każda garstka cukru była sprawiedliwie dzielona, a żadnego dziecka nie ominęła jego porcja. Podobnie, rozdawane papierosy — stawały się udziałem wszystkich mężczyzn.

Chata kuraki stała trochę na uboczu. Miała też swego rodzaju pierwsze piętro, to znaczy platformę z bambusa umieszczoną tuż pod palmową strzechą. Pod nią natomiast nie było nic prócz ubitej ziemi pokrytej zakurzonymi matami. Przy chacie kuraki płonęły najczęściej dwa ogniska. On jeden bowiem we wsi był posiadaczem dwóch żon, z których każda miała własne ognisko; przy czym żona numer dwa sypiała wraz ze swoimi dziećmi na wspomnianym piętterku.

Kobiety chodziły do pracy na otaczające wieś uprawne poletka yuki i kukurydzy oraz trudniły się zbieractwem. Do kobiet należało

także mozolne przygotowywanie tkanin na kuszmy, farbowanie ich oraz tkanie surowca na prymitywnych warsztatach złożonych z kilku żerdzi. Rzecz jasna, one głównie troszczyły się o dzieci, nosząc swoje maleństwa okrakiem na biodrze.

Mężczyźni obowiązani byli do polowań i omawiania ważnych spraw plemiennych. Z moich obserwacji wynikało jednak, że w sumie rzadko wybierali się z łukiem do dżungli, a jeszcze rzadziej przynosili jakiegoś ubitego tukana lub innego ptaka. Rozhovory jednak w cieniu którejs z chat potrafili prowadzić całymi godzinami. Od czasu do czasu lubili postrzelać sobie z łuku do celu oraz potrafili szybko i nader zręcznie fabrykować potrzebne im strzały.

Indianie powoli się do mnie przyzwyczaili. Kobiety nie chowały się już za węgły chat, a wśród dzieci zyskałem sobie nawet przyjaciół. Moje drobne podarki zawsze były honorowo odwzajemniane drobnymi owocami. We wsi kwitło normalne codzienne życie. Nie było skomplikowane. Cała działalność Indian zmierziała do zdobywania żywności i produkcji odzienia. Podstawą wszystkich posiłków była oczywiście yuka. Podłużne bulwy tej rośliny Kampowie jedli najczęściej po ugotowaniu w wodzie, zwykle bez soli, która była tam towarem luksusowym. Łykowaty miąższ yuki zawiera stosunkowo dużo węglowodanów, trochę wapnia i nikle ślady witamin, mimo to „moi” Indianie wyglądali zdrowo. Mieli ładne zęby i wiele wrodzonej pogody ducha. Każda chata utrzymywała w sposób ciągły swoje ognisko dzięki trzem wiecznie tłącym się szczapom. W razie potrzeby wystarczyło zbliżyć je do

siebie, pomachać czymś w rodzaju plecionego wachlarza, aby uzyskać płomień.

W wiosce było mi dobrze. W ciągu dnia nad rzeką otaczały mnie (zwłaszcza tuż przed codzienną ulewą) całe chmary bajecznie kolorowych wielkich motyli; pod wieczór watahy mniej przyjemnych komarów. Lubilem siedzieć wieczorem na bambusowej przyzbie, wpatrywać się w ogień i myśleć, że takie samo chyba życie wiedli smolarze w Borach Tucholskich za panowania Jana Kazimierza.

Nie wszyscy jednak Kampowie pedzą żywot taki, jaki obserwowałem w wiosce. Ci znajdujący się pod opieką misjonarzy uznawani są za „cywilizowanych”. Ich pobratymcy jednak, mieszkający w okolicy, nie życzą sobie kontaktów z białymi. Wioski Kampów, którzy nie mają jeszcze kontaktów z cywilizacją, składają się z chat rozrzuconych w buszu tak, aby sąsiad sąsiadowi do garnka nie zaglądał. Ci Indianie bronią swoich terenów i często zdarza się, że nie na żarty strzelają z luków do przedstawicieli peruwiańskiej administracji, wkraczających na ich terytorium.

Po rozstaniu się z Kampami, którzy „dostarczyli mnie” w wyniku kilkudniowego marszu-golgoty przez dżunglę do misji franciszkanów nad rzeką Tambo, i spływie tą rzeką na małej tratwie z drzewa balsa do osady Atalaya — znalazłem się znowu nad Ukajali.

Ogromna mulista rzeka toczyła swe wody „pełne wszelakiego zwierza”. Najstraszniejsze jednak były komary, przed którymi nie było ratunku. Wciskały się pod moskitierę, żądliły, doprowadzały do szaleństwa. Za pobyt w tej części Ukajali płaci się dosłownie krwią. Przy wszechobecności tych strasznych owadów na-

wet osławione piranie nie wydają się straszne. Spotkania z nimi unikałem zresztą starannie, a już zupełnie zaprzestałem kąpieli w rzece, kiedy jeden z peruwiańskich oficerów opowiedział mi, jak to na jego oczach krwiożercze rybki pożarły indiańskie małżeństwo po wyróceniu się ich czółna.

Jakie więc było moje zdumienie, kiedy mały chłopiec, który przed kilkoma minutami wylowił z wody małą piranie, niemal w tym samym miejscu beztrósco zażywał kąpieli. Bywają zatem, jak się okazało, różne gatunki piranii.

Na ogół przyjmuje się, że te żarłoczne rybki są zawsze niebezpieczne dla człowieka. Piranie, zwabione zapachem krwi w wodzie lub pluskiem, atakują błyskawicznie ogromnymi stadami. Wynika to po prostu z faktu, że ryby te (nie przekraczające długości 15 centymetrów) żywią się wyłącznie mięsem. Pożerają się także wzajemnie. Piranie nie lubią bystrej wody, najchętniej żerują w płytkich bajorach i rozlewiskach. W momencie ataku przewracają się na płask, wtedy słońce odbija się w ich srebrzys-



tych łuskach, a woda burzy się niczym gotowana. Ostre trójkątne zęby piranii, żerujących w gromadzie, w ciągu kilku minut potrafią z dorodnej krowy zostawić tylko ogryziony do czysta szkielet. Piranie w tropikalnych wodach pełnią rolę podobną do roli sępów na lądzie: czyszczą wody z wszelkiej padliny, która w tropikalnym klimacie szybko gnije, zanieczyszczając środowisko.

W wielkich rzekach, takich jak Ukajali, Amazonka czy Orinoco, żyje mnóstwo gatunków ryb, które dostarczają pożywienia nadbrzeżnej ludności. Są wśród nich i ogromne paicze osiągające 300 kilogramów wagi, są czabiry z zębami długimi jak u psa, są kunczi — z wąsami, przypominające nasze sumy. W tropikalnych wodach spotkać można także korwiny, wydające głos, oraz różowe delfiny zwane nad Ukajali puka buffeo. Te dwa ostatnie z wymienionych gatunków podsłuchiwał z pewnością Arkady Fiedler, któremu „ryby śpiewały nad Ukajali” już kilkadziesiąt lat temu.

Słodkowodny różowy delfin odgrywa zresztą niepoślednią rolę w wierzeniach indiańskich szczepów, mieszkających nad brzegami wielkich peruwiańskich rzek. Istnieją przekazywane z pokolenia na pokolenie baśnie związane z tym zwierzęciem. Występuje ono najczęściej jako wcielenie dobrego i złego ducha. Puka buffeo, zgodnie z tymi podaniami, potrafią przybierać ludzką postać i wkradać się do wiosek. Porywają wtedy niemowlęta, niszczą rolne uprawy, a czasem mogą nawet całą osadę zatopić.

Wielka Ukajali doprowadziła mnie nad Amazonkę, do Iquitos, miasta, które leży tuż poniżej zbiegu dwóch największych rzek peruwiańskich:

Maranon i Ukajali. Trudno wręcz uwierzyć, że z chwilą przybycia do głównego miasta peruwiańskiej selwy znalazłem się w jednym z portów... Atlantyku. Tak jednak jest w istocie. Do Iquitos docierają małe oceaniczne frachtowce, które płyną w górę rzeki 2 300 mil.

Przed rozwojem komunikacji lotniczej, aby dostać się ze stołecznej Limy nad Amazonkę, trzeba było przedzierać się przez Andy, a potem długo płynąć w dół rzeki Maranon. Dziś zresztą jeszcze transport lądowy na tej trasie nie jest możliwy. Kilkadziesiąt kilometrów dróg, którymi szczyli się Iquitos, prowadzi do nikąd.

Przed paru laty, kiedy zaszła potrzeba przetransportowania sporego ładunku kamienia budowlanego i żwiru, którego brak jest nad Amazonką, statek załadowany w Callao musiał popłynąć do Kanału Panamskiego, opłynąć wybrzeże Kolumbii, Wenezueli, Gujany i wypłynąć na Amazonkę, której ujście znajduje się na terytorium Brazylii. Dopiero po pokonaniu tej ogromnej rzeki — mógł zawinąć do Iquitos. W sumie jednostka przebyła ponad 7 000 mil. Odległość Callao — Iquitos w linii prostej natomiast wynosi zaledwie dziesiątą część tej trasy i samolotem odrzutowym pokonać ją można w kilkadziesiąt minut. Przykład ten najlepiej świadczy o trudnościach, z jakimi w swym wielkim kraju muszą borykać się Peruwiańczycy.

Współczesne Iquitos liczy ponad 75 000 mieszkańców, jakkolwiek jeszcze 120 lat temu na miejscu dzisiejszego miasta znajdowała się osada z 200 mieszkańcami. W początkach naszego wieku, w czasie gorączki kauczukowej, Iquitos rozkwitło wspaniale, a ślady tej świet-



70
CTS

ności bez trudu odnaleźć można w reprezentacyjnej części miasta: wielkie kolonialne budynki wykładane kolorowymi kafelkami sprowadzonymi wprost z Portugalii i Hiszpanii (oczywiście rzeka), piękny bulwar, a nawet cały budynek zwieziony w częściach z Paryża, którego konstruktorem był nie byle kto, bo sam Gustaw Eiffel, twórca słynnej wieży. W owych czasach Iquitos tarzało się w pieniądzech, a po spacerowym bulwarze Malecon przechadzały się damy ubrane według najnowszej europejskiej mody.

Kilka lat temu jeszcze Iquitos było portem wolnocłowym, z czego korzystały całe legiony międzynarodowych aferzystów i przemytników. Obecnie strefa wolnocłowa została zniesiona, i najważniejszy peruwiański „port nad Atlantykiem” zapadł w drzemkę. Ruch statków w porcie znacznie się zmniejszył, i jedynie

liverpoolska linia okrętowa wysyła tu regularnie raz na dwa tygodnie mały stateczek. Mimo to bez trudu stwierdzić można, spacerując uliczkami miasteczka, że sklepy w Iquitos zaopatrzone są nadal w towary, których daremnie szukać by można w Limie. Część z nich, być może, dowożona jest w ruchu lokalnym wzdłuż wielkiej rzeki z Brazylii i Kolumbii małymi łodziami, krytymi palmową strzechą, które zawijają do Belen, najstarszej i najuboższej części miasta zbudowanej na palach i wysuwającej się na wody wielkiej Amazonki.



Osada ta i pobliski bazar cieszą się sporym zainteresowaniem pojawiających się dość licznie turystów, którzy nieodmiennie wędrują także na nadrzeczny bulwar, aby obejrzeć pomnik poświęcony Orellanie. Jest to z pewnością najbrzydszy monument, jaki zdarzyło mi się oglądać. Składa się z niskiego obelisku i tablicy z odpowiednim tekstem, przy czym sam obelisk pokryty jest zwykłymi kafelkami, dokładnie takimi samymi, jakie zobaczyć można w...

pobliskiej ubikacji. Ojcowie grodu niewiele szacunku okazali mężowi, który nie tylko pierwszy przepłynął całą Amazonkę, ale również nadał jej obowiązującą do dziś nazwę.

Francisco Orellana jeszcze przed Quesada ruszył, aby ograbić Złoczonego Króla. Wyprawa ta, pod dowództwem brata, zdobywcy Peru, Gonzalo Pizarro, ruszyła w 1541 roku z terytorium obecnego Ekwadoru. Mimo pędzonych wraz z nią stad zwierząt przeznaczonych na rzeź, Hiszpanów dopadł głód. Nad rzeką Coca, którą z Amazonką łączy rzeka Napo, Hiszpanie wybudowali statek, którego dowództwo objął Orellana. Jego głównym zadaniem miało być zdobycie żywności. Orellana pod tym względem zawiódł. Nie zawiódł jednak jako odważny podróżnik. Być może zresztą, nie chciał dzielić się z Pizarrem skarbami, które spodziewał się odnaleźć w posiadłościach Złoczonego Króla. Tak czy inaczej, Orellana, pokonując potworne trudności, w ciągu siedmiu miesięcy spłynął do ujścia Amazonki trasą liczącą prawie 5 000 kilometrów. Wyczyn ten z pewnością wart jest dla potomnych czegoś więcej niż kaflowego pomniczka.

Orellana w relacji ze swej podróży opowiadał o żyjących nad Amazonką wojowniczych kobietach, które zabijały mężczyzn i dzielnie walczyły z Hiszpanami. Konkwistadorowi, oczywiście, nie uwierzono, jakkolwiek co do El Dorado nikt nadal nie miał wątpliwości. Również współczesna nam nauka skłonna była wojownicze Amazonki, żywcem przeniesione z greckiej mitologii, włączyć do bajek. Tymczasem w 1972 roku dokonano odkryć, które w innym zupełnie świetle stawiają opowieści Orellany.

Nowe dane pochodzą od niemieckiego etnologa von Puttkamera, który prowadząc badania wśród prymitywnych Indian brazylijskich mieszkających w stanie Radonia nad Amazonką, odnalazł grotty pokryte rysunkami. Przy pomocy specjalistów z Uniwersytetu w Goias, Puttkamer ustalił, że jaskinie te musiały być zamieszkałe przez szczep kobiet-wojowniczek, odpowiadający opisom Orellany. Między innymi rysunkami symbolizującymi kobietę, znaleziono w jednej z grot kamień z zagłębieniem i rozchodzącymi się promieniście rowkami. Znalezisko to potwierdzało legendę, że Amazonki mordowały niemowlęta płci męskiej i zgodnie ze swymi obrzędami piły ich krew. Odnaleziono również skalę sztucznie wygładzoną, a wyryte na niej rysunki wskazywały, że tam właśnie było miejsce obrzędowego zbliżenia Amazonek z mężczyznami, aby podtrzymać istnienie szczepu wojowniczek. Tak więc dżungla po czterech wiekach odsłoniła jedną ze swych tajemnic, co może służyć za wska-



zówkę, że i mityczne królestwo El Dorado okaże się kiedyś faktem.*

Na razie jednak Peruwiańczycy żyją pod wrażeniem innego skarbu, przy którym błędna zupełnie bajeczne bogactwa Inków. Są nim odkryte, niemal równocześnie z grotami Amazonek, olbrzymie złoża ropy naftowej w dżungli. Nazwano je, z pewną dozą dziennikarskiej przesady, „płynnym złotem Inków”.

Mieszkańcy Iquitos czekali na tę szansę i nie zawiedli się. Poszukiwania płynnego złota nad rzeką Corrientes prowadziło państwowe przedsiębiorstwo „Petroperu” z pełną niemal gwarancją powodzenia. Pewność ta opierała się na podobnych układach geologicznych, jakie występowały w pobliskim Ekwadorze, gdzie trafiono już poprzednio na wielkie złoża.

Dzięki pomocy władz peruwiańskich i samolotu misyjnego miałem okazję, dosłownie na dwa dni przed znalezieniem peruwiańskiej ropy, polecieć do nafcjarzy penetrujących dżunglę.

Mały samolot płynie nad zielonym dywanem. Przeszło godzinę już lecimy na zachód od Iquitos. Jak sięgnąć okiem — skłębiona dżungla w idealnie płaskim krajobrazie. Żadnych śladów życia. I nagle — nad brzegiem wijącej się kapryśnie rzeki, strzela w górę srebrzysta konstrukcja ażurowej wieży. Trompetero. Nie jest to nawet miejscowość. Po prostu umowna nazwa punktu nad rzeką Corrientes. Wodujemy tuż przy pływającym pontonie. Inżynier Rengifo pełni obowiązki gospodarza domu. Próbne

* Jak dotychczas brak potwierdzenia odkryć Puttkamera z poważnych źródeł, mimo, że od pierwszych doniesień w tej sprawie minęło już sporo czasu.

wiercenie trwa już przeszło dwa miesiące. Potrzeba jeszcze kilka dni, aby osiągnąć zamierzoną głębokość odwiertu — 4 000 metrów. Siedemdziesięcioosobowa załoga żyje nadzieją, że tu właśnie za kilka, może kilkadziesiąt godzin tryśnie wielka ropa.

Życzę szczęścia nafcjarzom i pakuję się znowu do samolotu, aby po dwudziestu minutach lotu wodować na falach Rio Tigre, w Intuto. Tu mieści się duża baza „Petroperu” i główny ośrodek poszukiwań metodą sejsmiczną.

Zawód nafcjarza w każdych warunkach, a już na pewno w podmokłej dżungli — nie jest zawodem lekkim. Aby uzyskać odpowiednie profile geologiczne, wytycza się na mapie linie idealnie proste, które następnie wycina się w dżungli bez względu na przeszkody terenowe. W regularnych odstępach eksplozje trzykilogramowych ładunków dynamitu przenikają poszczególne warstwy ziemi, których rejestracja, a następnie drobiazgową analizą jest wstępem do poszukiwań ropy za pomocą próbných wierceń.

Z trudem przedzieram się z robotnikami wąską przecinką. Wilgotny upał tamuje dech. Zwalone pnie wielkich drzew służą jako prowizoryczne mosty w grząskim terenie. Z gałęzi ześlizguje się czasem wąż, kiedy indziej rozwrzeszczy się stado małp. Metalowe tabliczki znaczą drogę. Po kilometry mniej więcej spotykamy nitkę czerwonego kabla. Wreszcie jest stanowisko.

Pod prowizoryczną palmową strzechą skomplikowane instrumenty elektroniczne rozbłyskują kolorowymi lampkami. Wraz z grupą robotników, tuż obok inżyniera, stoi dwóch Indian. Obaj dzierżą w ręku rury dmuchawek, a z

bambusowych kołczanów sterczą małe strzałki zatrute kurarą. Zwykła broń Jiwarosów, zamieszkujących tę część peruwiańskiej selwy. Kontrast elektronicznych przyrządów z dmuchawkami jest tak zaskakujący, że aż śmieszny. Precyzyjna technika sięgnęła Indian, którzy nie mają nawet prochu, którzy swoją żywność zdobywają tak samo, jak przed tysiącem lat ich przodkowie, i którzy do niedawna jeszcze preparowali ludzkie głowy, zmniejszając je, po usunięciu czaszki, do rozmiarów pięści.

Z dala dobiega odgłos eksplozji. Indianie z wielkim zainteresowaniem przyglądają się rozbłyskującym lampkom, światełkom i długiej papierowej taśmie wysuwającej się z aparatu. Czary białych ludzi. Indianie tracą nagle zainteresowanie całą sprawą i z gardłowym pomrukiem odwracają się, aby zniknąć w dżungli. Ciekawe, co przyniesie im cywilizacja. Horoskopy w tej mierze, jak wynika z doświadczeń w innych rejonach świata, nie są zbyt optymistyczne.

Dwa dni później olbrzymie nagłówki gazet donosiły: „Jest Wielka Nafta w Dżungli”, „Naftowe Eldorado w Peru”, „Geologowie Szacują Zasoby Na 3 Miliardy Ton”, „Amazonia — Departament Spełnionych Nadziei”.

Z okazji doniosłego odkrycia nad rzeką Corrientes, dyrektor naczelny „Petroperu”, generał Fernandez Baca, powiedział w swoim wystąpieniu:

„Rezultaty uzyskane w czasie wierceń mają decydujące znaczenie dla gospodarki narodowej Peru... Zanim jednak nastąpi pełna eksploatacja złóż za pomocą rurociągu naftowego, który trzeba będzie jak najszybciej przeprowadzić przez Andy, musimy znaleźć rynki

zbytu dla tego cennego produktu. Jak wiadomo bowiem, Peru, dla którego nafta jest podstawowym źródłem energii, było dotychczas krajem importującym ropę... W związku ze znacznym wzrostem, jaki obecnie nastąpi w wydobyciu tego surowca, musi ulec rozbudowie przemysł przetwórczy... Wydobycie ropy naftowej w rejonie Amazonki przekracza nasze możliwości inwestycyjne. Z tego powodu udzielamy koncesji zagranicznym spółkom.

Firmy te, inwestując posiadane kapitały, dopomogą nam w rozwoju ekonomicznym... Udzielone koncesje są umowami o pracę, za wykonanie której kontrahent otrzymywać będzie sumy nie przekraczające 50 procent wartości otrzymanej ropy. W takiej sytuacji możemy śmiało powiedzieć, że peruwiańska nafta należy do Peruwiańczyków, a państwowy monopol naftowy służy narodowym interesom... Uczynimy wszystko, aby udowodnić przyszłym pokoleniom Peruwiańczyków, że wiemy, jak wypełnić obowiązki, jakie na nas ciążyą.”

Peru więc widać stoi w obliczu rozwoju, a może i bogactwa, które w przyszłości pozwoli pokonać nawet warunki geograficzne, stanowiące dotąd nie przebytą przeszkodę w integracji społecznej i ekonomicznej wszystkich Peruwiańczyków: tych z wybrzeża, z gór i z selwy.

MAŁA ENCYKLOPEDIA

Peru w liczbach

LUDNOŚĆ PERU W XIX I XX W:

Rok	Liczba mieszkańców (w tys.)
1836	1373,7
1850	2001,2
1862	2487,9
1876	2705,0
1940	7023,1
1961	10715,0
1970	14000,0

LUDNOŚĆ GOSPODARCZO AKTYWNA (ROK 1969)

rolnictwo i hodowla	46,2%
górnictwo	1,7
przemysł lekki (manufaktura)	16,0
budownictwo	3,9
usługi podstawowe	4,3
handel	8,4
inne usługi	15,0
inne	4,3

NAJWIĘKSZE MIASTA W PERU (ROK 1971)

Nazwa	Ilość mieszkańców (w tys.)
Lima	2 541
Callao	335
Arequipa	195
Trujillo	156
Chiclayo	140
Piura	111
Cuzco	109
Chimbote	103
Huancayo	95
Iquitos	76

PRODUKCJA NIEKTÓRYCH ARTYKUŁÓW ROLNO-HODOWLANYCH W ROKU 1971 (W TYS. TON)

ryż	—	432
kukurydza	—	577
pszenica	—	136
ziemniaki	—	1990
fasola	—	55
bawełna	—	250
trzcina cukr.	—	8231
kawa	—	69
wołowina	—	68
wieprzowina	—	43
drób	—	54
mleko	—	609
jaja	—	28
wełna owcza	—	8
przędza z lamy, alpaki i wigonii	—	2

EKSPORT NIEKTÓRYCH GRUP TOWARÓW W 1971 ROKU W MLN DOLARÓW US

mączka rybna	—	294,59
produkty rolno-spożywcze	—	159,2
kopaliny		
w tym:		
miedź	—	182,3
srebro	—	62,2
ołów	—	33,7
cynk	—	47,5
żelazo	—	71,2
inne	—	23,6

STRUKTURA EKSPORTU W ROKU 1970

minerały i metale	—	84%
produkty morskie	—	32%
cukier	—	6%
bawełna	—	5%
kawa	—	4%
inne	—	5%